



NOWA KULTURA

Cena 1.20 zł — 8 stron

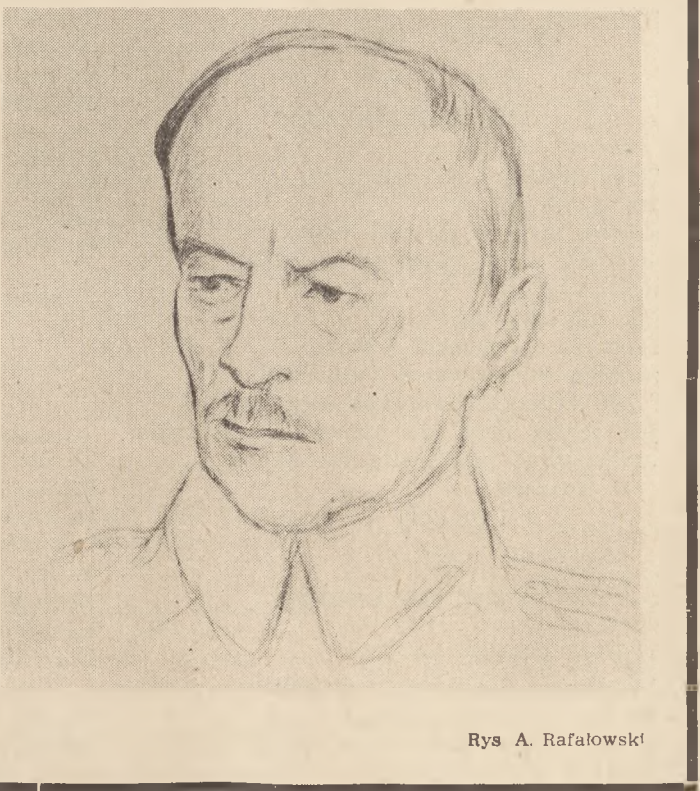
Warszawa, 27 czerwca 1954 r.

Nr 26 (222) Rok V

Zgon Zygmunta Modzelewskiego

Zmarł Zygmunt Modzelewski. W historii współczesnej Polski mało jest równie zasłużonych ludzi, jak ten skromny, dający z siebie wszystko społeczeństwu działacz polityczny i naukowiec. Syn kolejarza z Częstochowy, od wczesnej młodości związany z walką klasy robotniczej, działacz SDKPiL i KPP, więziony wielokrotnie i prześladowany przez rządy burżuazji, Zygmunt Modzelewski całe swe życie poświęcił wielkiej sprawie zwycięstwa proletariatu. Był z tymi, których wyszukiwano, nie ugiął się przed prześladowaniem, zawsze w pierwszym szeregu, zawsze na posterunku. Zнали go metalowcy Skarżyska, spółdzielcy Lublina, związkowcy z klasowych związków i górnicy ze Śląska czy Zagłębia. Zнали go emigranci polscy we Francji, których wspierał słowem i czynem jako sekretarz Centralnej Sekcji Polskiej przy KC KPP. Publicysta i naukowiec szybko wybił się na emigracji, dokąd skierowała go Partia. Tam zyskał przyjaźń i uznanie, swoich i obcych. Zostaje wybrany członkiem KC KPP.

Lata wojny to lata dalszej walki. Zygmunt Modzelewski jest jednym z współorganizatorów Związku Patriotów Polskich i Armii Polskiej w ZSRR. Jako jeden z pierwszych przywdziewa mundur żołnierza i wraz z I Armią bije się o Polskę Ludową. Pierwszy po wojnie ambasador Polski w ZSRR bierze udział w opracowaniu słynnego paktu przyjaźni między narodami radzieckimi a Polską Ludową. Minister Spraw Zagranicznych, reprezentant Polski w Radzie Bezpieczeństwa ONZ realizuje politykę przyjaźni i walki o pokój. Kiedy ciężka choroba serca zmusza go w 1951 r. do wycofania się z czynnego życia politycznego, Zygmunt Modzelewski, absolwent Sorbony i École des Sciences Politiques podejmuje pracę naukową. Wchodzi do Akademii Nauk jako jej członek rzeczywisty i członek Prezydium, pracuje nad zagadnieniami polskiego Odrodzenia. Członek KC PZFR i członek Rady Państwa, do końca życia pozostaje bojownikiem o sprawę ludu.



Rys A. Rafałowski

ANDRZEJ BRAUN

Co widziałem w Korei

Był w Polsce Ludowej piękny zwyczaj, że pisarze wyjeżdżali w teren, ażeby bezpośrednio uczestniczyć w wielkich wydarzeniach naszego czasu i aby znać leżących najwartościowszych ludzi, którzy mogliby stać się bohaterami ich książek.

W ciągu minionego roku miałem możność przez jedenaście miesięcy przebywać w Korei. Chciałbym w tym miejscu — ponieważ nie mogłem zrobić tego dotychczas — gorąco podziękować kierownikom Partii i Rządu za to, że wystąpili mnie w taki teren, że pozwolili mi uczestniczyć w takich wydarzeniach i poznać takich ludzi, jakich poznałem w Korei. Było to i będzie wielkim zaszczytem dla mnie, wielkim doświadczeniem pisarskim i ludzkim.

Wyjeżdżałem do Korei z ekipą szpitala PCK, która śpieszyła niesie pomoc cierpiącemu i walczącemu narodowi.

Było to na przełomie kwietnia i maja 1953 roku, w okresie szczególnie ciężkim dla tego kraju. Wojna szalała jeszcze w najwyższym natężeniu. Rokowania w Panmun-dzombie, mimo że rwały się ustawicznie, spowodowały drobną, ale pierwszą rzecz — wymianę chorych i rannych jeńców wojennych. Pomoc lekarska była potrzebna gorąco. Ranni żołnierze koreańscy czekali na lekarstwa i operacje. W pierwszych dniach maja podzieliśmy samolotem na teren płonący, koreański ojczyznę. Zobaczyłem czym jest dziś wojna, kim jest wróg i czym jest bohaterstwo. Widziałem przez długie jedenaście miesięcy rzeczy tak straszne, że nie wymyślił ich ludzka fantazja i tak piękne, że nie przeczuje ich serce pisarza. Rozgrzywały się przed moimi oczyma. We wszystkim brałem udział nie jako obserwator, ale jako stronniczy, zaangażowany własnym życiem i sumieniem, działający człowiek. A czymże innym jest doświadczenie?

II

Korea w owe majowe, czerwcowe, czy lipcowe tygodnie przedstawiała widok dlałwicy za gardło. Przepiękne, bujna, podzwrotnikowa niemal roślinność porośnięte góry, kopulaste, ciągnące się łańcuchem za łańcuchem jak nieskończone morze ciemnozielonych szczytów; cudowne przełomy dzikich, górskich rzek, pola podobne do gaszczy zagajników, szosy wijące się niebotycznymi zygawkami po zboczach, koleje wpadające z tunelu na most z mostu w tunel. Widziałem ten kraj, o którym nikt z nas nie przypuszczał, że jest tak piękny, a w którym toczyła się od trzech lat najstraszniejsza wojna, najpotworniejszy terror lotniczy jaki zna historia współczesna. Widziałem miasta, które kiedyś miały do kilkuset tysięcy mieszkańców, a z których pozostała tylko plątanina dróg wśród chwastów i rozoranej gliny, wśród lewów i szczap; miasta, które wylądowały jak jedno wielkie zamknięte pole, pofalowane wzgórzami szerniałej ziemi.

Po dwóch miesiącach, przebywszy całą Koreę Północną od granicy chińskiej do 38 równoleżnika, zobaczyłem pierwsze miasto koreańskie, gdzie stały normalnie zabudowane ulice — był to Keson, znajdujący się w strefie neutralnej. Widziałem wieś, gdzie stało zaledwie po kilka nie zburzonych chałup, ale i te

ziały pustką i bezludziem. Widziałem gromady kobiet, starców i dzieci wędrujące pieszo kilometrami, w poszukiwaniu pożywienia, koczujące w ziemi i kurzu przydrożnym, półnagie, straszliwie wychudzone i brudne, handlujące kilkoma paczkami papierosów chińskich, czy usuwające leje po bombach. Widziałem dzieci zabite już nie bombą, lecz pustym bakiem po benzynie, zrzuconym z odrzutowca. Widziałem wzgorza i całe zbocza tak pokryte kopulastymi kopczykami mogił, że wyglądały jak zabrukowana „komimi ibami“ ulica. Widziałem pielęgniarki z naszej ekipy, które choć stały się nieraz z nędzą, płakały jadąc po koreańskich drogach. I widziałem jednocześnie chłopów oraz żołnierzy w pełnym słońcu dnia orzących pola ryżowe, choć na niebie nie ustawał warkot amerykańskich jetów; dzieci z płóciennymi workami na zeszyty zdążające do leśnej szkoły. Zetknąłem się z lekarzami innych krajów demokracji ludowej. Z Bułgarami, którzy od dwóch lat blisko dzielili z narodem koreańskim jego trud i walkę, którzy żyli i pracowali w nędznych chałupkach na otwartym polu, co noc niemal bombardowani, a którzy dawali to, co mogli dać — gorące serca, wiedzę lekarską i bezgraniczne poświęcenie. Spotkałem lekarza rumuńskiego, kobietę, dziekaną akademii, która nie zawahała się zostawić trzymiesięczne dziecko w ojczyźnie, skoro jej wiedza okazała się potrzebna Korei. Zobaczyłem w całej sile i codiennej prawdziwie co znaczy internacjonalizm.

III

A potem szpital. Cóż — szpital może zbyt wielkie słowo. Rzędy glinianych, ledwie wystających nad powierzchnią ziemianek, rozrzuconych w dzikich górskich dolinach odległych od siebie o kilometry, poprzedzielanych kamienistym bezdrożem, górską rzeką, na której nie ma mostów, potokami, które po kilku dniach deszczu stają się lawiną wodną, niszczącym oceanem nie do przebycia. Widziałem lekarzy słabszych i silniejszych, przyzwyczajonych do wygod czy dobrobytu w Polsce i zapalnych entuzjastów, siwowłosą pielęgniarkę i delikatną jedynaczkę; szoferów i docentów jak przez trzy tygodnie dźwigali na własnych plecach tysiące skrzyń i beł, dochodzących nieraz do wagi stu kilogramów, jak własnymi rękami ładowali i wyladowywali wagony i samochody, jak budowali od podstaw domy i urządzenia, instalacje i aparaty, stoły i łóżka. Widziałem jak pot tych dzielnych ludzi wsiąkał w koreańską ziemię. Widziałem żołnierzy z zagipsowanymi i zabandażowanymi rękami, czy nogami, których trzeba było siłą odpedzać, tak rwali się do roboty, do dźwigania, do pomocy.

Widziałem chirurgów, którzy w piekielnym upale, w dwóch małych i ciasnych salkach operacyjnej ziemianki, stojąc od rana do wieczora, spływając potem, dokonywali nieskończonej ilości najbardziej skomplikowanych operacji. Widziałem żołnierzy, którzy po zejściu ze stołu operacyjnego, mimo przeżytych cierpień, ściskali dlonie polskim lekarzom i dziękowali im za to, że ocalili ich od kalectwa, że umożliwili im powrót na front, dalszą obronę ojczyzny. Widziałem instrumentariuszki, które mdlały po wielu godzinach pracy, a nie chciały zejść z posterunku.

Szpital. Słomiane dachy, skąd miło wysiłkom zachowania higieny lała się woda strumieniem, gdzie na dwu rzędach przycz, słoczonych ciasno jeden przy drugim, leżało po sześćdziesięciu chorych; gdzie środki między pryczami, grzęzło się do kostek w rozkisłym, glinianym błocie. Widziałem jak lekarze internści badali chorych — całymi godzinami pełzali na brzuchach, czolgali się na lokciach, opukując i osłuchując swoich pacjentów na leżącym, bo nie było do nich innego dostępu.

Widziałem lekarzy i siostry, którzy cztery razy dziennie po sześć kilometrów wędrowali pieszo przez głązy i potoki, bezdroża i urwiska na swoje oddziały, do swoich chorych, dźwigając na plecach żywność i leki, materiał opatrunkowy i sprzęt — wszystko. Widziałem ludzi, którzy robili codziennie po dwadzieścia kilometrów, brnąc do pasa w wodzie, przebijając wbród wezbrane rzeki i strumienie, z pakami lekarstw, które nie mogą zamoknąć, sami przez całe tygodnie przemoknięci do nitki. Mielśmy lekarza i pielęgniarkę, którzy, aby dostać się do oddziałów przez wezbraną rzekę ziemianek z chorymi, musieli dwa razy dziennie przebywać wpław rwącą wodę sięgającą ramion. Trzykrotnie topili się, a nie opuszcili ani dnia przy chorych. A ilu rezygnowało ze snu, z obiadu czy kolacji, ażeby zakończyć pracę, ażeby nie zostawić chorych bez pomocy. Widziałem konferencje i posiedzenia naukowe o pierwszej, czy o drugiej w nocy, kiedy ludzie trzęśli się ze zmęczenia. I przy tym wszystkim radość, pogoda, wytrwałość. Widziałem młode zetempówki po ciężkiej pracy, w późnych godzinach nocnych uczące Koreanki naszych polskich pieśni i uczące się pieśni Korei. Cwicząc naukę języka koreańskiego. Własnoręcznie uszyte stroje krakowskie i ogniste tańce w ziemiankach chorych. Burzliwe zebrania partyjne, gdzie krytykowano surowo wszystkich, którzy nie dorosli do czasu i miejsca, w jakim się znaleźli, gdzie kształtowała się nasza socjalistyczna moralność.

Poznałem szacunek i miłość otaczającą bohaterów Koreańskiej Armii Ludowej, żołnierzy z gwiazdą na dreluchu. Rannych, którzy na pytanie czego im trzeba, najbardziej prosili o papier dla sporządzenia zeszytów na notatki, do nauki dzieł KPZR. Bowiem gazeta partyjna była jedynym papierem w tym kraju. Między wierszami tej gazety pisano listy do Kim Ir Sena i do matek. Z gazety tej pomazanej czerwioną farbą, były chorągiewki, które ścisły ręce starych chłopów, starych chłopek i dzieci. Widziałem zebrania partyjne i wykłady marksizmu odbywające się w kucki o piętej rano nad brzegiem potoku. Ogłądałem dziesiątki zagłodzonych wymizerowanych kobiet, które bez wahania dawały po czterysta gramów krwi na transfuzję dla operowanych żołnierzy. Kobiety, które mdlały, a z zażenowaniem odmawiały przyjęcia w zamian porcji żywności, ażeby nie podejrzwano je, iż zrobiły to tylko dla zarobku. Widziałem jak krew polskich lekarzy płynęła w żyły koreańskich żołnierzy, ażeby bić w ich sercach wspólną nienawiścią do wroga. Ogłądałem setki wyleczonych żołnierzy, ozdrowieńców, którzy z bukiętami kwiatów wracali do swych rodzinostek na front. Jeszcze czuję

mocny uścisk ich dloni. Widziałem siostry koreańskie, które na plecach nosiły rannych przez góry, tak jak przedtem wynosiły ich spod kul. Poznałem Ju Gi Hon, bohatera Armii Ludowej, krwiodawczynię i sanitariuszkę, której krew ocalała życie setki żołnierzy. Ciągłe widzę zagłodzone dzieci, przynoszone przez wieśniaczki do szpitala, małe zasuszone trupki, oraz siostrę polską, jak wieczorami szyje z własnych koszul dziecinne kaftanki i pieluszki dla tych niemowląt. Trzymałem na rękach dzieci szkolne, które nie pamiętały czasu, kiedy nie było wojny.

Czytałem setki listów, pisanych przez chorych żołnierzy i przez ozdrowieńców do polskich lekarzy i pielęgniarek. Listów wciśniętych w rękę, lub przychodzących pocztą polową ze wszystkich krańców walczącego kraju. Listów zwiniętych w kształcie kwiatu, ozdobionych własnoręcznymi malowidłami gołąbków i motyli, zawierających gorące, serdeczne słowa przyjaźni, wdzięczności, obiecujących walczyć ze wszystkich sił o pokój i wolność ojczyzny, o przyjaźń między narodami. Teraz po powrocie często biorę do ręki pakiet tych nawińnych, niby kartki z dziecinnego zeszytu, a najpiękniejszych listów jakie znam. Oto początek listu pisanego do nieznanego im, przebywającej gdzieś w Polsce matki najbardziej lubianego przez nich lekarza: „Najukochańsza matko. Nie znamy ciebie, lecz jesteś naszą matką. Nie masz już jednego syna, masz ich setki i tysiące, ponieważ my wszyscy jesteśmy braćmi twojego syna...“

IV

Jeździłem wiele po Korei w owe wojenne miesiące i później. Widziałem góry tak obtłuczone bombami, że stały się zupełnie białe, jak z cukru. Nie pozostało na nich ani skrawka roślinności, oprócz zmiażdżonej skały. Widziałem kolejarzy, chyba największych bohaterów wojny koreańskiej, jak noc w noc walczyli z nieprzyjacielskim lotnictwem. W ciągu krótkich, letnich nocy przeprowadzali po kilkudziesięciu transportów kolejowych od granicy chińskiej do frontu. Widziałem potrojne mosty odbudowywane w ciągu kilku godzin z gotowych, przygotowanych łącznie z szynami części. Widziałem tysiące ochotników chińskich, tej najmłodszej i najpiękniejszej armii świata, noszących dzieci na plecach, pomagających rąbać drzewo kobietom koreańskim, uprawiających ich zaniedbane pola. Widziałem wszędzie przyjaźń tych dwóch narodów dochodzącą do braterskiej i siostrzanej zażyłości. Widziałem straszliwe bombardowane drogi przyfrontowe, gdzie na przestrzeni trzech kilometrów naliczyłem trzy tysiące lewów od bomb. Widziałem miejsca po ziemiankach chłopskich zagrzebane w dymiącym jeszcze kraterze. Widziałem płonące pociągi, płonące samochody, płonące lasy. Widziałem napalm zlewany żółtoczynowymi strugami ognia z czarnego nieba. Widziałem noc w noc pomarańczowe odbłaski bomb syjących się na ruiny miast i wiosek, na przeprawy ludziami pontonowymi przez rozlane rzeki, wśród zderzanych tam i mostów. Ileż razy uciekałem z samochodu, leżalem na ziemi, śledziłem zbliżające się rozpryski ziemi, ileż nocy spędziłem w schronach, nie zmrzyłem oczu, nie zdejmowałem ubrania. Po (Dokończenie na str. 2)

Równanie kroku

Dożyć obficie „Nowa Kultura“ zaprezentowała czytelnikom dorobek VI Zjazdu pisarzy polskich w kolejnych numerach publikując teksty referatów oraz we fragmentach lub w całości podając większość wypowiedzi w dyskusji. Liczyliśmy, iż nie znużą one naszych czytelników, którym nieobojętne są utwory, jakie z rąk pisarzy otrzymują, a więc zapewne także — poglądy twórców, aktualne problemy, spory i bołaczki literackie. Nie ma potrzeby zatem rekapitulować szczegółowo raz jeszcze debat zjazdowych.

Zjazdy, narady, konferencje, jak wiemy, nie tworzą w literaturze ani epok, ani przełomów. Tworzą je dopiero dzieła. Ale w powojennym życiu twórczym zjazdy literackie mają swą ciekawą kartę. Znaczący one stadia rozwoju świadomości twórczej. Były areną starć ideowych. W ogniu ich kształtowało się oblicze inteligencji twórczej ludowej Polski. Były terenem nieślabnących walk literackich i poszukiwań dróg nowego pisarstwa, poszukiwań, którym natchnienie dawała nasza rewolucja.

Data obecnego zjazdu literatury obwarowana była wydarzeniami dużej miary. Zjazd Partii, zbliżające się dziesięciolecie wyzwolenia, gwałtowne polemiki w kwestiach sztuki w ZSRR i u nas — wszystkie te zdarzenia wyznaczały gorącą problematykę zjazdową pisarzy. Wypałał on na skrzyżowaniu dwu zadań, obydwu nader ważnych: oceny dziesięciolecia i mocnych fermentów myślowych, jakie przyniósł okres ostatni. Zjazd podzielił uwagę między te sprawy — był na polu retrospektywnym, na polu roboczym. Ani jednej, ani drugiej, oczywiście, wyczerpująco przeanalizować nie był w stanie (są one tak ważne, że na długo jeszcze będą kwestiami otwartymi) — jednak niewątpliwie pozwolił nam jaśniej ujrzeć ewolucję środowiska twórczego, wnikiwiej przeanalizować problematykę współczesnej literatury, śmiało zakreślić pytania, jakie stają dziś przed naszą myślą krytyczną.

Nie darmo na progu nowej niepodległości wybuchł w nas spór wokół dzieł inteligencji polskiej, zainicjowany w r. 1946 w „Kulicy“ przez socjologiczno-literacką rozprawę Chałasińskiego. Był on podyktowany potrzebą samousвідомienia, odnalezienia się naszej inteligencji w nowej, historycznej sytuacji.

„Istnieją całe systemy, chytrze choć bezwiednie, kombinowanych złudzeń, które zabezpieczają inteligencję polską przed zetknięciem się z istotnym, nie dającym się oszukać światem“ — pisał na kartach „Legendy Młodej Polski“ Stanisław Brzozowski, sam zbłąkany wśród manowców myśli i czynu.

Bezprzykładne doświadczenia wojny, a przede wszystkim wyzwolenie społeczne stworzyło dopiero ostateczne przesłanki porzucenia przez całą naszą twórczą zbiorowość inteligentną zakłętą kręgu tragedii i pomyłek, z których — zanim historia podsunęła rozstrzygnięcia — tylko nieliczni, najbardziej świadomi umieli dzięki solidarności z ruchem rewolucyjnym znaleźć wyjście na własną rękę.

Dziesięć minionych lat — jakkolwiek oceniamy zdobycze literatury tego okresu — to właśnie czas przezwyciężania tych „systemów złudzeń“, jakie oddziaływały pisarzy od prawdy życia społecznego, jakie skazywały najczęściej ich słowo na wąskie strefy społecznego odbioru. To czas równania kroku naszej literatury z krokiem polskiego ludu. Mamy wiele pięknych świadectw tej drogi, ale bodaj najjaśniejsze świadectwo została pod piórem poety „Czarnej wiosny“ i „Alarmu“, Antoniego Słonimskiego, który w inwokacji do nowego, niedawno wydanego wyboru wierszy zwracał się do czytelnika:

Pójdź za tą pieśnią, która bładła
Przez mgły polskiego ćwierćwiecza
Łamiał się z sobą, nim zwyciężyła
Sprawa człowieka.

Bo pieśń, choć nieba sięgnie wyniosła,
Gdy samej sobie zaczyna kłamać
Trzeba jak rękę, co się źle zrosła
Na nowo łamać.

Jeśli on marzył, syn marnotrawny,
Goryczy pełen samotnik,
Dziś tym marzeniem kształt daje
Jasny

Chłop i robotnik...

Uczenie się socjalizmu, zaangażowanie po stronie obrońców pokroju i kultury rozwiewało powoli mgły najróżniejszych złudzeń i fałszów, jakie osaczali jeszcze po wyzwoleniu świadomość niejednego pisarza. Idzie o rynek, tam szukając nieurojonych, sprawdzalnych miar politycznych i moralnych — wolano na łódzkim zjeździe literatów, kiedy bezradne i niewystarczające okazywały się dziedziczone po poprzednich okresach metody pisarskie w zetknięciu ze wstrząsem

rewolucyjnym, jaki przeżywała Polska. Później, nieco po omacku poszukiwano wizji powstającego państwa, które miało zakładać w literacką rzeźbę ludzi pracujących w kuźni sześciolatki nad podstawami socjalizmu. Jeśli przypomnieć sobie zjazdy pisarzy w Szczecinie i Warszawie, to nie można oprzeć się przekonaniu, że o nowym socjalistycznym realizmie mówiono tam jeszcze jak o żelaznym wilku.

Obecny Zjazd, drugi z kolei zjazd warszawski, który zebrał się po czterech równo latach, miał już po za sobą wiele ideowych przemyśleń i decyzji, a za swój przedmiot — większą znacznie sumę doświadczeń i rozstrzygnięć artystycznych. To co w naszej literaturze nabrzmiewa stopniowo, z większą ostatnio siłą, na Zjeździe wystąpiło z wyjątkową jasnością: prawdziwie zaangażowane pisarzy w dzisiejsze losy narodu (tych również pisarzy, którzy do niedawna okazywali wobec niego wiele rezerwy), dojrzałe zrozumienie powołania literatury w chwili historycznej, kiedy decydują się losy naszej planety i przyszłość naszego narodu. Zbratanie pisarzy różnych niegdyś przekonań, pisarzy różnego doświadczenia, dorobku i wieku we wspólnym dziele świadczą jak głęboko wtargnęły w środowisko pisarskie idee socjalizmu.

Procesy, o których tu mowa, nie ominęły także pisarzy innego poglądu na świat, pisarzy-katolików. Jeden z nich słusznie ubolewał na Zjeździe nad przemilczaniem w prasie marksistowskiej i w Związku Literatów wysiłków postępowych pisarzy katolickich. W środowisku tym nastąpiły i następują poważne przemiany, które na zlekceważenie lub neutralność nie zasługują. W ciągu dziesięciolecia powstała sytuacja paradoksalna. Kiedy katolicyzm polski był głównym bastionem społecznego ciemnogrodu, toczyliśmy z nim żaźarte boje; kiedy w poważnej swej części wylała się spod władzy ciemnogrodu, został jakby w naszym życiu literackim spalony mosty. A przecież przywiązujemy znaczenie do tych przemian, dzięki którym jednoczą się nasze wysiłki przy budowie socjalizmu, w walce o pokój. Fałszywa to byłaby solidarność, która wiedząc co nas łączy, pomijała milczeniem to, co dzieli. Z trwałego gruntu promieniowania nie sprowadza nas bodaj najostrzejsze dyskusje i starcia w sprawach filozoficznych, czy artystycznych. Ale współtwórca intelektualna — to jeden tylko aspekt zagadnienia.

Istnieje też inni, i to znacznie poważniejsi. Nie wolno nam zapominać, że na owych mostach współpracujących się na wspólnych zadaniach społecznych, mostach między postępowymi kołami katolickimi a marksizmem trwa ciągły ruch, że po nich błąka się spora część naszego społeczeństwa, naszej młodzieży. Dlatego słuszny apel katolickiego krytyka o zerwanie z traktowaniem tych koł jako swego rodzaju partikulara, przypomnia nam również o potrzebie bacniejszego, aktywniejszego kształtowania opinii o tych zjawiskach literackich z naszych pozycji.

Dziesięciolecie Polski Ludowej — o tym zdawał się Zjazd mówić dobitnie — nie będzie dla polskiego pisarstwa jedynie wielką rocznicą. Zbiega się ono z kulminacją pewnych procesów wewnątrz środowiska twórczego: z konsolidacją najbardziej twórczych sił naszego pisarstwa, z przynoszącą pierwsze zdobycze literackie ewolucja ideową pisarzy starszego pokolenia (tych, naturalnie, którzy te ewolucje mieli do przebiecia), z dojrzywaniem młodych twórców naszej literatury. Zbiega się z zasadniczą dyskusją, która rozbija w twórczym impasie wszelkie ograniczenia i zacieklenia, które kępowały rozwój, postępną naszą socjalistyczną literaturę. Z tego głębokiego fermentu, jaki nurtuje środowisko pisarskie, brał się ów wysoki ton moralnej odpowiedzialności, dominujący w atmosferze zjazdowej. Stąd troska o godność i społeczną rolę literatury, jakie odzywały piękne przemówienia Jarosława Iwaszkiewicza. Stąd owo „nie ma zgody“ w kwestiach artystycznych, jakie było nerwem polemiki Przewojskiego i Jastruna, Słonimskiego i Putramenta. Stąd przekonanie Woroszylskiego, że jeżeli może nam coś zaszkodzić, to nieogrodzone tamowanie fermentujących myśli — stąd także przewijające się przez obrady ataki na biurokracizm w kulturze.

Nie mogło nie wzburzyć niepokoju, iż dyskusja na Radzie Kultury kwestie swobód artysty ujmowała niejako w oderwaniu od tego, czemu te swobody mają służyć. Niemniej ostro Zjazd literacki protestował przeciwko biurokratyzmowi praktykom w różnych formach — lecz (Dokończenie na str. 2)

Równanie kroku

(Dokończenie ze str. 1)

profestował w imię wolności twórcy do wypowiadania własnego sądu o rzeczywistości, w imię wolności od lakiernictwa i bezkonfliktowości, w imię wolności od zamówień zza biurka — na rzecz prawdziwego zamówienia społecznego. A te wolności godne są poszanowania, tym więcej, że pisarze zdobywają coraz bardziej rzeczywiste podstawy i uprawnienia moralne do pełnego korzystania z nich. Wielkiej literatury nie można zaplanować, często bywa ona kaprysem natury. Zamówić „Zorane ugoru” nie podobna, lecz można stworzyć klimat sprzyjający „Zoranym ugorom”, albo dla nich nieprzychylny. Nam, rzecz jasna, chodzi o to pierwsze.

„Śmiało stawiajcie w swej twórczości trudne problemy naszego burzliwie rozwijającego się życia, oświetlajcie głębokie przemiany i dramatyczne konflikty w stosunkach między ludźmi, w walce nowego ze starym w duszy człowieka i w świadomości mas ludzkich” — nawołuje Partia w przemówieniu tow. Ochaba. Czymże jest to wołanie, jeśli nie głosem narodu, domagającym się sztuki na jego miarę?

Wiemy natomiast, iż na razie współczesność nie angażowała pióropisarzy w tym stopniu i z takim rezultatem, jakbyśmy sobie tego życzyli, jakby wymagały tego wielkie sprawy, które się co dzień wokół nas dzieją. Nikt nie zaprzeczy, że nie da się przetrwać wielkiej socjalistycznej przemiany wsi polskiej, tego ostatniego siedliska zafowania i nędzy, z jego wyblakłym, bezkrywym, dzieciennie uproszczonym obrazem w naszej prozie. Co zrobić, aby tej jedynej, niepowtarzalnej szansy współczesności nie strwożyć, aby ją godnie podjąć?

Na zjeździe zbyt mało doszły do głosu doświadczenia pisarzy w tej najbardziej palącej sprawie. Może Zjazd zresztą nie był najlepszą okazją do rozważań, wymagających odosłonecia tajemnic własnej pracowni, niemal intymnych wyznań. Pewnie jednak wnioski Zjazdu rozsunały i warto je przypomnieć.

Zycie środowisk literackich jest u nas nadal zbyt ekskluzywne, zbyt wątpliwe jeszcze wiązemy spójne z życiem społeczeństwa. W pracy pisarza wszystkie środki temu celowi służące są równie dobre. A więc i rozjady i rekonesansy pisarzy, które w pierwszym okresie przyczyniły się do powstania pionierskich utworów o tematyce współczesnej. Dziś nasi pisarze bardziej wrośli w rzeczywistość, są bardziej czynni w różnych odmiannach aktywności społecznej, toteż kontakty i ich pole obserwacji rozszerzają się i pogłębiają. Można z tym wiązać nadzieje, że powiśle pozbędzie się reportażowej szkowności i jednowymiarowości, przestanie być literaturą „na wyjeżdżym”. Są zresztą już pierwsze przejawy zwrotu ku epice — w „Trzeciej jesieni”, w „Obywatelach”, w „Uczci Baltazara”, w „Lewantach” i we „Władzy”.

Nie mniej niż trudności obiektywne, których przeskoczyć nie da, powstrzymują rękę pisarza inne względy. Nasze zachęty i inspiracje w kierunku współczesności często były propagandą na opak. Problematykę współczesną zaopatrywano w niezliczone „ale”. Nie trudno przewidzieć, że sztuki tej pomocy pisarzom były wręcz odwrotne. Wynikają stąd poważne wnioski co do metod naszej krytyki. Niech będzie ona w swych ocenach jak najrozsądniejsza, jak najbardziej wymagająca, lecz niech respektuje zaniżany pisarskie i szanuje indywidualności. Ciasne kryteria ocen miały głębokie źródła w trudnych założeniach teoretycznych, wymagających ciągłego ich kontrolowania i rozwijania. Zjazd właśnie pozwolił krytyce uświadomić sobie węzłowe problemy estetyki realizmu socjalistycznego.

Mętki wokół zagadnienia typowości jest często przyczyną jaskrawych nieporozumień: albo zbyt lekomyślnych posądzeń o naturalizm albo przeceniania naturalistycznych splaszczzeń tam, gdzie one istotnie wstępują. Wyprowadzając w pole tak dowolnie i mętnie pojmovane przez naszą krytykę pojęcie można zdyskwalifikować każdy utwór. Typowość w dziele literackim, jak nas uczy wielowiekowe dziedzictwo sztuki, bywa osiągnięta w najrozmaitszych sposób. Przeko ustalanie, czym się często trudnimy, w jakim

stopniu ma ona spoczywać na pożytecznym bohaterze, ile ma być cieni, a ile blasków, jakie perypetie są wskazane, a jakie nie — pozabawione jest głębszego sensu.

Oczywiście uogólnienie artystyczne wspiera się bezpośrednio na odтворonym obrazie, a ten nie może uragać prototypowi, jakim dla sztuki była zawsze konkretna rzeczywistość. Nie można jednak zaciemniać oceny utworu do tego, co on wprost przedstawia, trzeba go mierzyć przede wszystkim tym, co wyraża.

A więc idealami żywymi — rewolucyjnymi, czy wstecznymi? Krytyka społeczna — ale z jakich pozycji — wielkiego obywatela kraju socjalizmu, czy filistrza? Miarą współczesnej literatury musimy uczynić jej siłę przeobrażania dusz ludzkich, jej wkład w dzieło rewolucjonizowania świadomości i wyobraźni narodu.

Sporo uwag skupiało się, lub krążyło na Zjeździe wokół zagadnień sztuki, piękna w literaturze. Bez kategorii estetycznych nie może się obyć ambitna krytyka. Tymczasem nasza myśl estetyczna jest nadzwyczaj opieszła; nie przyswoiła sobie nawet tych zdobyczy, do których doszła od dawna materialistyczna wiedza o sztuce. Cóż dziwnego, że zagadnienia formy, artystyzmu są albo schronieniem dla niedobitków idealistycznych koncepcji i pięknoduchowskich snobizmów, albo — w najlepszym razie — impresyjnych akrobacji?

W jeszcze większym stopniu niż prawość którejś epoki realizm socjalistyczny wymaga od pisarza, aby treścią swego życia uczynił dumę, wiarę, troskę współczesnym ludzkości. Do tego zaszczętnego powołania wzywał Zjazd wszystkich pisarzy, którzy zdolni są temu poddać. A reszta decyduje się już nie na zjazdach.

Redakcja

DOBRANOC

Już księżyc w gałęziach zgasił
i mgła wychyla się z mroku,
o jakież okrutny jest czas,
o jak przyspiesza wciąż kroku!

Nad stawem słowiczy tryl
nadzieje budzi łaskawsze,
o gdybyż choć kilka tych chwil
zatrzymał można na zawsze...
Dobranoc!.. Dobranoc!

MOMENT LIRYCZNY

Spod drobnutkich paluszków
jak u dziecka
niczym ptasi w tarninie tryl
wywijała się ta pieśń mazowiecka,
trzepotała
jak nad łąką motyle.
I kwiliła w strunach i łąka,
zanosiła się śmiechem i szlochem
i jak strumyk cichutecznie szeptała,
jak szmer liści, jak szelest w leszczynie
szczębiotała, powtarzała dziecinnie:
— Kocham!..

I umilkła

NOC GRUDNIOWA

Bije za gromem grom.
Skowycząc tłucze wiatr nocami
w ożalobiony mój dom,
w cztery twardo milczące ściany.

Pusto. Do mózgu sięga chłód
i dłoń kościstą wsczepia w gardło.

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI

Z „WIERSZY LIRYCZNYCH”

I łbem bym o podłogę tłukł
— i wiem, że wszystko to na darmo.

Odwrócić niezbлагany los,
siłą wypchnąć za próg — daremnie!
Więc u progu czekam na ciós,
który zechce uderzyć we mnie.

TO JEDNO

Niewiele po mnie tu zostanie:
jak jesień złote liście w sadzie
roznieście czas nieublaganie
wszystko, com skrzętnie nagromadził.

I tylko może ta garść wierszy,
w które — jak w ziemię tamtą trumnę
składałem — złożę, zanim umrę
co najlepszego noszę w piersi

— to może przetrwa...

1 MAJA 1954 ROKU W WARSZAWIE

To dla Ciebie ten dzień, kochana,
to dla Ciebie:
ta pogoda złocista od rana
i te chmurki lekko jak puch
— jak piórka
żeglujące po wesołym niebie.
I na ziemi świąteczny ruch.
Dla Ciebie.

To dla Ciebie wszystko, jedyna:
limuzyny w Alei Stalina,
ptasia wrzawa skłębiona nad parkiem
i w kwiecistych sukienkach
panienki.

I dorozkarz włożył nową marynarkę
dla Ciebie.
Bo to przecież dzień Twoich urodzin.

Patrz!
Jak pięknie! Już idzie młódzież.
My.
A każda dziewczyna w pochodzie
— każda ma Twoją twarz.
Roztańczeni i uśmiechnięci
Alejami idą studentki
tak, jak nymy kiedyś tędy szli.

Nie ma jak młodym!..

Malwy niosą.
Nie. To malwy same idą pochodem
w pogodę
majowych dni.

To dla Ciebie, dla Ciebie kochanej
zawsze żywej, niezapomnianej.

W CZERWCU

Wszystko straciłeś. Młodą urodę.
Miłość. I wszelką nadzieję.
I w niepogodę także wydumał,
że pustym tylko noc chwieje.

Drzewo domowe! Kasztanie w oknie!
Mój przyjacielu umarły!
Jednak znów stoisz strojny jak dawniej
w zielone i złote barwy.

Więc nie umiera wszystko? Nie ginie?
Więc nie przemija życie?
Tylko zasypia na noc grudniową?
I znów się budzi — o świecie?..

Co widziałem w Korei

(Dokończenie ze str. 1)

tem Marambonu. Widziałem to miasto zamienione w jedno wielkie śmietnisko bezdomnych. Widziałem zwykłą grobnię na podmiejskiej łące, w której mieszkało dziesięć tysięcy ludzi. Kręciłem się po zabłoconych ulicach w gwarmin, nieprzeliczoną rojowiską, w tłumach handlujących, gotujących na otwartym powietrzu, piorących bieliznę, w brzęczeniu rowerów, ryku samochodów, śpiewie maszerujących kolumn żołnierzy. Byłem w ministerstwach mieszczących się w zakupionych do polowy w ziemię, trzyzłobowych chałupkach, załatwiałem sprawy, jadłem obiady w restauracjach, skleconych na wzór psiej budy, słuchałem głośników nadających polskie pieśni „Mazowsza” na rogach nieistniejących ulic, a wszystko to w czasie, kiedy trwał alarm lotniczy, kiedy na którąś z innych dzielnic tego niezwykłego miasta spływały bomby. Niebo było zawsze upstrzone obłokami artylerii zenitowej. Trudno zapomnieć wojenne życie tego miasta, bombardowanego bez przerwy dzień i noc, tak normalne, tak pozorne spokojne i zwykłe. W czasie najgorszych nalotów nie widziałem się tam zniszczeń — bo gruz i leje były wszędzie, nie widziałem się paniki, czy przerażenia — bo ludność przywykła, bo życie i jego prawa są silniejsze od śmierci.

Widziałem podziemny bazar, gdzie można było dostać prawie wszystko, co potrzebne do wojennego bytowania. Widziałem podziemne radiostacje i urzędy. Pod każdą ruiną był schron. W biurach spano i pracowano — gdy byłoby nie do wytrzymania, schodziło się pod ziemię.

Widziałem szkołę w Phenianie. W piwnicach zburzonego domu, gdzie pod betonowym stropem dzieci wpelzając na czworakach uczyły się w grupach po trzy, po cztery, w ciemności, bez żadnych okien czy wentylacji, wszystkiego na pamięć. Piwnica miała półtora metra wysokości.

Widziałem w podziemnym teatrze w Górze Marambon, podczas wojennych bombardowań, niezapomniane występy Coj Syn Chi, opery... Widziałem tam wspaniałe eliminacje ogólnokoreańskiego festiwalu amatorskich zespołów artystycznych, których uczestnicy przywieźli po 100 kilometrów piechotą, mieszkali na korytarzach tego jedyne go w świecie teatru, dawali przepiękne występy i jeszcze te same nocy wędrowali z powrotem dziesiątki kilometrów do swoich wiosek, czy jednostek wojskowych. Widziałem profesora Thou, wielkiego archeologa, który wiele lat spędził w Wiedniu, siedzącego w ciemnej piwnicy pod ruinami pheniańskiego muzeum i zlepiającego okrucy zabytkowych wkopalsk, zniszczonych barbarzyńsko przez amerykańskich kulturträgerów. szatkali brązowych waz i porcelany, pochodzących z czasów na wiele lat przed odkryciem Ameryki.

Przeżyłem straszliwe bombardowanie Kusonu w ostatnią noc przed rozejmem. Widziałem wojnę w całym jej wszechstronnym okrucieństwie.

V

Ale widziałem i nadejście pokoju. Brałem udział w trzydniowym szale radości, tańca i zabawy, jaki ogarnął całą Koreę na wieść o

przerwaniu działań wojennych. W zapadłej wiosce górskiej, w szpitalu, widziałem ludzi wycieńczonych głodem i chorobami jak przez trzy dni z rzędu, w sierpniowym upale, tańczyli od świtu do zmroku. Widziałem niekończące się pochody, maskarady, zawody sportowo-akrobacyjne, stare ludowe gry, niespotykaną, zbiorową psychozę szaleńców, uniesienia, tańca.

Narod, który wytrzymał trzy lata tak strasznej wojny, ma dość siły dla radości, dla pokojowej pracy i odbudowy.

Widziałem jak w trzy dni po usunięciu zaciemnienia załadnia się ziemia Korei. Jak załadniały się opustoszałe chałupy przydrożne, jak powylepiane gazetami, udekorowane tysiącami transparentów i sztandarów ożyły biura, urzędy, sklepy, restauracje, księgarnie. Znamy okolic, przez które wielokrotnie przejeżdżałem myśląc, że są całkowicie bezludne, nie mogłem już poznać. Wszędzie tam życie wyszło z lasów i gór, z podziemi, radosne wytrwało, zwycięskie. Byłem na wielu zebraniach i wiecach przy świetle pochodni, gdzie precyzowano nowe, ciężkie i trudne zadania stojące przed ludem koreańskim po zwycięstwie.

Widziałem ten drugi, pokojowy Phenian. Na polach gruzów wyrosły przez mgnienie oka tysiące baraków, sklepów, bazarów. Jakże przypomina on naszą Warszawę z 1945 roku. Odkryłem nieprzebraną ilość gmachów, które wczoraj zdawały się nie istnieć, które były fundamentami wypalonego muru, a dziś, jak gdyby wydobytę z przechowiania, porosły dachami ze świeżego drzewa, zaskłiły się lustrami słońca. Widziałem ten „wielkomiejski fason” na wczorajszym pustyni, reżolucie milicjantki, wynachujące chorągiewkami na skrzyżowaniach nieistniejących ulic, wspaniałe czerwone, moskiewskie autobusy błyszczące lakierem i światłami na ciemnych przestrzeniach tego ludzkiego obozowiska. Nocą Phenian płonie morzem światła — nocą jest wielkim, rozsypanym na wzgórzach miastem. Widziałem monumentalny gmach teatru wydzignięty na szczybie Marambonu, pierwszy wybudowany gmach nowego Phenianu. Widziałem beczyszczone z gruzów place pod przyszłe centrum odbudowanej stolicy, gdzie kopie się już pierwsze fundamenty. Widziałem znany obraz jak tysiące kobiet i dzieci, młodzież szkolna, oddziały żołnierzy i ochotników chińskich z łopatami, z czerwieńmi transparentów i pieśnią na ustach ochotniczo odgruzowuje po pracy pustynne tereny miasta. Widziałem w pracowniach architektonicznych wspaniałe makiety przyszłego Phenianu. Widziałem młodych inżynierów, którzy w najcięższych latach wojny, w podziemiach całkowicie zburzonego miasta, opracowali plany i wizję jego przyszłych kształtów. Widziałem białe od świeżego wapna hale całkowicie odbudowanej w ciągu kilku miesięcy fabryki włókienniczej, w której do wótru młotkiem stolarskim huczały krosna i wrzeciona. W tydzień po rozejmie jechałem już osobowym pociągami po Korei.

VI

Z miesiąca na miesiąc rozwijało się bujnie pokojowe życie tego kraju. Zylem się z jego ludem w bezpośrednim, codziennym sąsied-

twie. Widziałem pracę Komitetów Ludowych i Partijnych na zapadłej prowincjonalnej wiosce, brałem udział w świętach i obyczajach wieśniaków, byłem na weselach, tradycyjnych świętach zmarłych (odpowiedniku naszych „działów”, obchodzonych również o polnocy), uczestniczyłem w ściąganiu kontyngentów od kulaków. Całe to przedstawianie życia na tory pokojowej odbywało się w warunkach trwałego podziału kraju i ciągłej groźby zerwania rozejmu przez agresorów spod flagi „ONZ”. W miarę postępującej demobilizacji i my przeszliśmy na odcinek najważniejszy dla przyszłości Korei, a jednocześnie najtrudniejszy, do pracy w głównym ośrodku przemysłowym odbudowującej się Korei, w środowisko straszliwie wyniszczonej wojną klasy robotniczej. Zamieszkałszy w niedużo zburzonym mieście portowo — robotniczym, Hynnamie. Widziałem wielokilometrowe ruiny ogromnego kombinatu chemicznego w Hynnamie — Pongu. Zetknąłem się z całą otchłanią nędzy ludności cywilnej, miejskiego proletariatu Korei. Widziałem góry okoliczne pokryte grobami jak ospą. W ruinach fabrycznego szpitala, w zburzonym pokoju dyrektora mieliśmy niezapomnianą rozmowę z Kim Ir Senem, który dodawał nam odwagi na nowym miejscu pracy. W gorących, pełnych wiary słowach tego człowieka widziałem całą niezniszczalną siłę narodu, który podniósł się z wieloletniej niewoli, i który z nową ufnością stanął do odbudowy zburzonego domu. Jeszcze słyszę wesoły, donośny bas Kim Ir Sena mówiący o sile, jaką stanowi potężny obóz krajów pokoju i socjalizmu.

Widziałem skutki wojny, codzienną niekończącą się rzekę schotowanych ludności cywilnej, koczującej przed szpitalem. Widziałem piękne osiemnastoletnie dziewczęta z płucami zjedzonymi przez gruźlicę, którym mogliśmy dawać najwyżej po parę tabletek PAS-u, aby nie odeszły z pustymi rękoma. Ażby naprawdę pomóc tym ludziom, trzeba by wyciągnąć ich z ziemi, gdzie mieszkali, pobudować mieszkania, odżywić, przydzielić, pobudować sanatoria. Tegomysł zrobić, niestety, nie byli w stanie. To mogła dać tylko odbudowa kraju, pokój. Widziałem sekretarza komitetu fabrycznego, którego szesnastu poprzedników zginęło od bomb na tymże posterunku. Osiemdziesiąt procent rodzin, wśród ludności tego miasta poniosło straty w zabitych i rannych od amerykańskich bomb i pocisków okrętowych. Widziałem w straszną zimę powojenną, przy wielostopniowym mrozie nagie dzieci w kuzuli do pępka sine, biegnące bosą po śniegu.

Ale widziałem też niełomność Koreańczyków. Byłem świadkiem wiecu, po którym przyszły setki ludzi spośród mieszkańców miasta i załogi kombinatu, i w dwie godziny rozładowano pociąg — transport naszego szpitala. Widziałem jak szkielet gigantycznego kombinatu rozświetlały płomienie spawaczy, jak wyjeżdżały tony gruzu, a złociło się świeże drzewo, jak dźwig oczyszczał tory, jak wykopywano pieczolowicie ukryte w ziemi obrzynie transformatory elektrowni w Czangdzinie i Supunie, jak zaczynały dymić pierwsze komin hut w Nampho i zakładów hutni-

czych Kim Czaka w Czongdzin. Rozmawiałem z generałami, którzy przyszli z frontu na dyrektorów fabryk, na nowy front odbudowy. Jechałem do zburzonych fabryk z grupami specjalistów przybyłych z Polski, ze Związku Radzieckiego, z Chin.

VII

Ale widziałem i tych, którzy morderstwami i prowokacją chcą wznowić wojnę w Korei — widziałem dalszy ciąg nieustających bestialstw na jeńcach wojennych w Panmunzonie. Widziałem wybrki największego zdżczenia i kanibalizmu, obrazy najstraszniejszego sterroryzowania i upodlenia ludzi. Widziałem flagi czangkajszekowskie i lisymanowskie oraz obelżywe hasła „antykomunistyczne” wytaśtuwane siłą na piersi ludzkiej i widziałem te same hańbiące znaki wytkrobane paznokciami do krwi do żywego ciała. Widziałem kuzulki ze „słońcem Taiwanu” zamazanym własną krwią. Widziałem krwią malowane szlاندary chińskie i radzieckie trzymane przez płaczących jeńców, którym udało się uciec. Widziałem sterroryzowanego, zastraszonego jeńca, który przez dwie godziny „aktję wyjaśnianą” młotał się jak szaleniec. Iżyl, opłukał, ciskał przedmiotami w przedstawicieli swej ojczyzny, a kiedy go zapytali cierpliwie, czy nie zmieni swej decyzji, że ma jeszcze ostatnie pięć sekund do namysłu, płakał i wołał, że chce się repatriować do domu. Widziałem gwałt straszliwy gwałt zadany człowiekowi, jawne, cyniczne wyzwanie trzonu prawu i sumieniu ludzkości. Jeńca, który chciał wrócić do ojczyzny zabito pałkami, poćwiartowano, wyrwano mu serce, ugotowano je i zmuszono jeńców, ażeby je zjedli, tak aby wszyscy byli odpowiedzialni za zbrodnię. Widziałem jednego z tych nieszczęślików, który mówił: „Tak, jadłem serce Czang Tse Lunga. Zmusili mnie. Inaczej zjedliby moje serce”. Widziałem szpital amerykański, gdzie „siostry” przywlewały chorych do łóżek i mordowano ich związanych, w gorące. I takie szpitale były w Korei. Widziałem terrorystów i morderców z obóz o twarzach degeneratów, którzy jawnie, na sądzie przechwalali się tym co robili. Bronili ich demonastracyjnie amerykańscy adwokaci. To byli ci, o których Amerykanie walezyli w Azji, ci, którzy reprezentowali amerykański „wolny świat”. Widziałem wszędzie tysiące bezbronnnych ludzi powiązanych drutem jak bydło, pędzonych przez szpaler agentów i EMPistów do Seulu. Tak wlewała „dobrowolny” do Li Syn Mana.

VIII

Tak. Widziałem tysiące rzeczy pięknych i równie wiele wstrząsających. Cóż, mogę tutaj wyczerpać je tylko, a rejestr długi do wyczerpania. Wierzę mi jednak, że kiedy ostatni raz z samolotu patrzyłem na koreańskie góry, na ten półwysp wyciągnięty jak zakrzywiony miecz wolnej Azji, do polowy umazany w trzcinną, żal mi było pożegnać ostatecznie ten — jak to określił jeden z moich przyjaciół-lekarzy — tak piękny, a ostatecznie doświadczony kraj.

Andrzej Braun

MORZE

WYBOR POEZJI
I PROZYWydanie II przejrane
i poprawioneOpracował i objaśnieniami
zaopatrzył
Janusz SłepowskiWYDAWNICTWO
MINISTERSTWA OBRONY
NARODOWEJ

K 1747 I

Z DYSKUSJI NA ZJĘDZIE

ANDRÉ WURMSER

My piszemy ciąg dalszy

Drodzy Przyjaciele! To, że jestem tutaj, aby pozdrowić Was w imieniu pisarzy francuskich, jest dla mnie radością tak wielką, że mogę porównać ją tylko z zaszczytem, jaki uczynili mi pisarze francuscy upowiadając o przemawianiu w ich imieniu.

Pozwólcie, abym w trosce o dokładność wyjaśnił w imieniu jakich pisarzy przywołam Was do zrodzenia.

Przed wszystkim pozdrawiam Was po bratersku w imieniu tych, którzy dzielą Wasze pragnienia i Wasze myśli, w imieniu Aragona i Vercorsa, André Stilla, Pierre Daxa, Claude Roya, Roger Vaillanda, Claude Morgana, i wielu innych, których także chciałbym wymienić, a którzy zawsze byli Waszymi przyjaciółmi, a szczególnie w imieniu tych, których można nazwać najsłabszymi słowem, jakie XX wiek wprowadził do wszystkich języków — w imieniu Towarzyszy.

Pozdrawiam Was także, moi drodzy Koledzy, w imieniu tych, którzy długo traktowali nas podejrzliwie, pogardliwie, obojętnie, a nawet wrogo, a których trzy zasadnicze czynniki przebudzenia świadomości francuskiej — stałość komunistów, lekka udzielona przez historię i bezcelność amerykańska — doprowadziły tam, gdzie nie przypuszczali, że się znajdą: u naszego boku. Ale skoro mogę pozdrawiać Was w imieniu tych, którzy przyszli, nie będzie przesadą pozdrowić Was także w imieniu tych, którzy przyjdą, tych, którzy chwilowo jeszcze spoglądają na nas z góry — powieściopisarzy hyperpsychologizujących, którym jedna zmarszczka mózgu wystarcza, aby przesłonić ludzkość, poetów zasklepionych w tym ostrzegającym egzozm, nazwanym w ostatnim wieku tak trafnie „indywidualizmem“, a którzy przyjdą do nas któregoś dnia, ponieważ wbrew pozorom, są istotami obdarzonymi rozsądkiem, a — słusznosci należy do nas.

Ze będą oni liczni, gwarantuję mi to przeszłość. Gdybym mówił w ten sposób na Kongresie Wrocławskim, iluż pisarzy Francji protestowałoby, a między nimi i ci, którzy są dziś naszymi towarzyszymi drogi, i to często najmniej oczekiwani. Nie przypadkiem do Stowarzyszenia Narodowego Pisarzy Francuskich, gdzie wspomnienie Ruchu Oporu jest tak żywe, gdzie pisarze - komuniści są liczni, zgłosiło się ostatnio wielu świętych pisarzy dawniej nam obcych, pisarzy takich jak Morle i Bazin, Yves Gibaux i Pierre Gascar.

Nie chciałbym jednak, by powstało choćby przypuszczenie, że przemawiam w imieniu cyników i pterodaktyli, którzy żyją i piszą przeciwko nurtowi historii. Ale z tymi jest tak, jakby w ogóle nie istnieli. A więc czuję, że mam prawo w imieniu całej żywej literatury francuskiej życzyć dzisiejszemu polskiemu piarstwu sukcesów, które odnosił jest Waszym obowiązkiem, a zapowiedzią ich jest wiele pięknych książek tego dziesięciolecia, które wieńczy Wasz Zjazd.

„W ciągu 10 lat — powiedział Leon Kruczkowski — żyjemy i piszemy w kraju zwycięskiej rewolucji społecznej... We wszystkim co powiemy na tym Zjeździe, powinniśmy widzieć perspektywę tych dziesięciu lat“.

Cóż, drodzy Koledzy, za 10 lat my, Francuzi — my albo nasi synowie — będziemy żyć i pisać w kraju, zwycięskiej rewolucji społecznej, w kraju wolnym, w sercu świata pokoju.

We wszystkim co mamy do powiedzenia, w naszych utworaach a szczególnie w naszych sądach o utworach innych, musimy widzieć perspektywę tych 10 lat, które nadejdą.

I prosimy Was, abyście w tej perspektywie widzieli naszą obecną walkę. Kiedy czytałem interesujące referaty Leona Kruczkowskiego i Kazimierza Brandysa, wydawało mi się, że nasze problemy, mimo że, umieszczone w innym kontekście społecznym niż Wasze, nie różnią się zasadniczo od tych, nad którymi Wy dyskutujecie. I my także musimy wołać jak Delfim do króla Francji: „Ojcie, uważaj na lewo! Ojcie, uważaj na prawo!“ My także musimy bez przerwy powtarzać, że literatura bez świadomości społecznej jest dziełem literatury infantylnej i śmieje na nowo ustalać zasady tej sztuki partyjnej, o której potrzebie pisał temu mówił Aragon przy aprobacie Thoreza i całego XIII Zjazdu Komunistycznej Partii Francji. Ale my także nie możemy pozwolić, aby krytyka imitowała Boga Wiekuistego na Sądzie Ostatecznym i dzieliła książki i autorów na „dobrych“ i „złych“, trzeba wymagać od nas więcej odcieni w stopniowaniu. My również, i my przede wszystkim musimy nieustannie zwalczać formalizm, którym posługuje się burżuazja, żeby tym lepiej maskować swoje kręćkackie posunięcia.

My także musimy potępiać książki pozbawione sensu, o których piszą ich zwolenniczki: „On nie wyraża nic, ale jak on to pięknie wyraża!“

Ale — ojcie, uważaj na lewo!

My także musimy powtarzać, że potępienie formalizmu nie oznacza, abyśmy tolerowali — przyjąwszy, że najważniejsza jest treść — nie dbała i byle jaką formę, posługującą się pośpiesznymi i wulgarnymi uproszczeniami. Zrozumienie rzeczywistości nie pozwala nam lekceważyć zagadnień formy — ono nam ją narzuca w nowej, a więc trudniejszej do rozwiązania postaci. Nie uraczamy naszej nowej publiczności, naszego ludu, niedojrzałym schematyzmem, tak jak to się nam wydawało. I my, niestety, musimy walczyć ze schematyzmem, który jest rozwiązaniem demagogicznym, rozwiązaniem łatwym. Musimy sobie przypomnieć, że geniusz wielkich pisarzy realizmu krytycznego nie polegał tylko na tym, że wprowadzili oni na scenę bourgeois choćby wyposażonego we wszelkie wady. Żeby stworzyć dzieło wartościowe, trwałe i piękne nie wystarczy pokazać robotnika obdarzonego wszelkimi cnotami.

I my także musimy unikać podobnych błędów jak przesadna skromność, która staje się aż błędem historycznym. Nie należy myśleć, że pisarze naszego czasu nie różnią się od naszych poprzedników, ale widzieć, że są pisarzami ery naukowego socjalizmu, z tym wszystkim, co te słowa narzucają świadomości. A z drugiej strony nie należy przesadzać w naszej samowystarczalności i zapominać, że ani literatura francuska, ani polska nie narodziły się razem z nami, i że arcydzieła przeszłości nie wywodzą się z realizmu socjalistycznego, ponieważ realizm nie mógł być socjalistyczny przed powstaniem samego socjalizmu.

Ale przede wszystkim chcę zwrócić waszą uwagę na na podobieństwo naszych problemów, ale na ich odmienny kontekst. Francuska literatura postępową rozwija się w walce prowadzonej w samej Francji przeciwko kulturze francuskiej, przeciwko niepodległości, wolności i honorowi ludu francuskiego, kiedy cenzura wypacza i stara się zniszczyć wszystkie filmy francuskie, które starają się stawiać jakieś zagadnienie społeczne, nawet jeśli podchodzą do nich nie z naszej strony, kiedy jednocześnie znowa milczenia stara się zdusić każdą książkę francuską, która podnosi ducha Francji; kiedy powieść godna Nagrody Stal'nowskiej jest dlatego właśnie ignorowana przez krytykę „dobrze myślącą“, nazwaną tak dlatego, że nie myśli; kiedy pisarz, który otrzymuje Nagrodę Stal'nowską jest dlatego właśnie więziony; kiedy pokój jest niebezpieczny dla państwa, a wymiana kulturalna zamachem na rację stanu, jak to wiada na przykładzie baletmistrza kobiegacza i kiedy racja stanu rządu wymaga, aby nasz kraj był traktowany jako naród słaby, nasz lud jako lud wyczerpany, nasza kultura, jako kultura wyjątkowa — w tej samej chwili, kiedy Komunistyczna Partia Francji wzywa do zespolenia całej energii narodu.

W tych warunkach najjaśniejszy widzący pisarzom i krytykom francuskim nie wolno zamknąć się w swoich poglądach i zasadach jak w wieży z kości słoniowej i stamtąd wygłaszać kazania do tych, którzy szukają drogi. Gdyby tak postępowali, wykazaliby naiwny upór tych rewolucjonistów, którym Engels wypominał, że biorą własną niecierpliwosć za argument teoretyczny.

Przeciwnie, muszą oni podtrzymać każde światło w świadomości pisarza, wszystko co walczy z rozpaczą, pesymizmem i wyrzuceniem, muszą akcentować wszystko, co zawiera w sobie obietnicę nawet mało uchwytnej, książkę najbardziej dyskusyjną. Nie znaczy to, że pochwalamy całą książkę, wszystkie myśli autora i nieśluszną byłoby w ten sposób interpretować naszą chęć pomocy w zdobyciu pełnej świadomości tego, czego dopiero widać przebiegi. W innym stadium rozwoju naszego narodu będziemy stosować inne kryteria, ale w tej chwili naszą największą troskę stanowi ocalenie i rozwój całej naszej narodowej literatury.

Powiedziałem: całej naszej literatury narodowej. Trzeba by wiele pychy a mało wiary w skuteczność naszych myśli, aby wymagać ekskluzywności, nie wiem zresztą jakiej, dla pisarzy zarejestrowanych jako postępowi. Na przykład przedstawianie historii poprzez ludzi, którzy ją tworzą — czyli realizm socjalistyczny — jest realizmem czasu socjalizmu, ale byłoby sofistycznym wyciągać stąd wniosek, że realizm krytyczny, uczywy, dawny realizm stał się wstecznym. Jestem przekonany, że gdyby Balzac, Dickens, Tolstoj czy Prus zmartwychwstali, zostaliby po pierwszej książce okrzyknięci jako komuniści, a po drugiej staliby się nimi naprawdę. A więc nie chodzi nam o to, aby wykluczać, ale aby przyćmiewać; nie

o to, aby odpychać ludzi w tył, ale aby prowadzić ich naprzód.

„Kontynuujemy Francję — powiedział kiedyś Paul Vaillant Couturier — nie sami przeciecz ją kontynuujemy, ale ze wszystkimi Francuzami ukształtowanymi i wypaczonymi przez półtora wieku kapitalizmu, a wśród nich przeciecz są także i pisarze francuscy, którzy odrzucają marksizm tym silniej im mniej go znają.“

Naprawdę, istnieją spotkania historii i historii literatury — tak, jak spotkania miłosne. Rzadko obaj partnerzy przybywają równocześnie. Zaszczycem jest przybycie pierwszym, ale wcale nie po bohatersku jest przybyć o wiele za wcześnie, ponieważ nie spotka się nikogo, lepiej także nie obrażać zbyttno wyzyskami tej lub tego, kto popchnął błąd spóźnienia się, a z kim trzeba razem utworzyć wspólny dom, trzeba — a zresztą nie jest to wcale nieprzyjemne.

Drodzy Przyjaciele! Choćby Kazimierz Brandys miał rację mówić to, czego uczy nas niestety nasze ludzkie i pisarskie doświadczenie, a mianowicie, że uczucia prawdziwe i głębokie przychodzi nam wyrazić z trudem, zarzyknę mówić o miłości podobnej do Nowego Świata — bo jednocześnie bardzo starej i całkiem nowej. Prawdą jest, że tym razem na nasze spotkanie Polska przybyła przed Francją. Możecie się tym szczeżyć a i my szczyćmy się wami. Mchaleł przepowiedział to w związku z Mickiewiczem — „jeżeli Polska wypierzeć o krok Francję, Francja nie będzie o to zazdrozna“. Ale Wy, drodzy Przyjaciele! oskarżając o nasze spóźnienie tylko położenie geograficzne. Stawimy się na spotkanie naszej miłości. I obw, nim ten dzień nadejdzie, z naszych odmiennych dróg do tego samego celu, z Waszej walki o budowę nowego świata i naszej walki o odzyskanie narodowej niepodległości — narodziły się arcydzieła godne naszej sprawy i naszych Ojczyzn.

André Wurmser

Wreferacie Kazimierza Brandysa kryła się pewna myśl, która może nie dość jasno, przejrzysto była wypowiedziana. Warto ją ujawnić, gdyż moim zdaniem tym nie zabrakło ani jednego wielkiego twórcy naszej literatury.

Brandys mówił o froncie antyfaszystowskim, jaki powstał w naszej literaturze nazajutrz po wyzwoleniu, a zrodził się podczas okupacyjnej nocy. Mówił, iż we froncie tym nie zabrakło ani jednego wielkiego twórcy naszej literatury.

Dziś, po latach dziesięciu, czy raczej siedmiu, mamy podobne zjawisko: prawdziwej, głębokiej konsolidacji ideowej polskiego piarstwa. Ale już nie tylko na platformie antyfaszystowskiej. Ale już nie pod ciśnieniem wojennego okrucieństwa, narodowej martyrologii, która musiała podówczas wstrząsnąć sumieniem ludzkim, a cóż dopiero piarskim.

Dziś w naszych oczach następuje konsolidacja narodowego piarstwa na platformie nowej, pokojowej, socjalistycznej. Przypominamy sobie długi szereg nazwisk. Jaki Brandys wymieniał z okazji pierwszego okresu literatury Polski Ludowej (1944 — 47) i — obok innych, nowych — prawie ten sam szereg nazwisk, prowadzących, przewodzących naszej literaturze w obecnej chwili. Proces ten, który by można nazwać przywróceniem równowagi świata piarskiego, nie był wcale tak łatwy, jakby się na pozór z tego zestawienia wydawało.

Lata dzielące ów front antyfaszystowski od dzisiejszego — był to okres dramatycznej, ostrej walki, w której nieuniknione były poważne straty, poważne dramaty ludzkie, których przeglądem mogą być niektóre wypowiedzi pisarzy z okazji dziesięciolecia. Nie jest to dla nas, starszych i młodszych uczestników czy obserwatorów tego procesu, tajemnicą, że były to cza-

TADEUSZ DREWNOWSKI

Przed wysokimi schodami

sy przełamywania rozmaitych podstaw politycznych, że były to czasy do gruntu sięgającego przewartościowywania całych systemów wartości, że były to czasy kataklizmów światopoglądowych.

Niejedną stąd wynikała bolesna strata. Wiemy, że naprawdę niedrukowano utworów Jarosława Iwaszkiewicza, jednego z wielkich mistrzów słowa; wiemy, że nie widział dla siebie miejsca w nowym teatrze świętny dramaturg Jerzy Szaniawski; wiemy, że wołała na uboczu życia literackiego pozostała Maria Dąbrowska, ludzkie, o demokratycznych przed wojną przekonanach, których jednak wiele wówczas dzieliło od nowej polskiej rzeczywistości. Jeśli zważyć, że owe lata — to czas najpełniejszej dojrzałości twórczej tych pisarzy, to czy były to straty dla kultury polskiej, dla jej bieżącego tętna? Na pewno tak. Nie będę tu wchodził szczegółowo w przyczyny różnych przypadków i dramatów, wiele było zapewne przyczyn subiektywnych, rozmaitych drobnych nadużyć i hypergorliwości. Ale ogólnie biorąc przyczyny tych zjawisk należy szukać w samej istocie walki klasowej, walki o umocnienie dyktatury proletariatu — tego nadrzednego, głównego celu, jakim kierowała się i jako osiągnęła historia najnowszej Polski.

Ale cały wielki optymizm biegu naszej rewolucji widać w tym fakcie, że dziś owi wielcy ludzie pórsą z ludem. Należy to zawdzięczać mądrości, tej surowej mądrości Partii, która nie tylko — jako przewodniczka narodu — prowadziła zwycięską przebudowę naszej rzeczywistości, ale także nie zaniedbała żadnej okazji, żeby odzyskać te talenty dla sprawy narodu. Zawdzięczamy to mądrości samych tych twórców, którzy często swych najprawdziwszych przekonań nie zawahali się zrewidować w obliczu najuczciwszego sędziwego ich dzieła — polskiego narodu. Choć może wyrwane z udziału w aktualnej aktywności zbiorowej,

nie były to więc lata pod żadnym względem stracone.

Niech mi wybaczą ci wielcy pisarze, iż śmiem o nich otwarcie i w ich obecności mówić. Chyba to również ich wielkie przeżycie zdolny jest wyrazić pewien twórca poety jeszcze starszej generacji piarskiej, nestora naszej literatury, Leopolda Staffa:

Chciałem już zamknąć dzień na klucz,
Jak czytając księgę,
Owinać się czarną ciszą
I zasnąć na połęcie.

Aż tu za oknem wsłekała zorza,
Budząca radość i przestrach,
Rozbiła nieczym pożar,
Wybuchła jak orkiestra.

Oto dzień nowy i świat nowy
Tysiącem dźwięw gra mi.
Zwróciłem się na równe nogi,
Przed wysokimi stałami schodami.

Przed „wysokimi schodami“ piętrzących się piarskich możliwości, jakie stwarza świat nowy i dzień nowy stanowiącym razem prawie wszyscy; z tą tylko różnicą, że oni — Staff i Broniewski, Lucjan Rudnicki i Maria Dąbrowska, Zofia Nałkowska i Leon Kruczkowski — potrafili je dzięki ich doświadczeniu i talentowi pokonać stokroć lepiej, niż pisarze niższego od nich lotu.

Mówię, że spotkali się dziś prawie bez wyjątku pisarze ci sami, co w latach tuż po wyzwoleniu, ale na nowej, socjalistycznej drodze twórczej. Dlatego muszę powiedzieć, że trudno mi się pogodzić z twierdzeniem Leona Kruczkowskiego, który mówił w referacie, iż obok realizmu socjalistycznego trzeba stworzyć możliwości wypowiedzenia się tym realistom — jak sugerował — innego autoramentu.

Pragnę uniknąć scholastyki, ucieknę się do dwóch przykładów przywołanych właśnie przez Leona Kruczkowskiego, przykładów utworów najsłabszej daty — „Trzeciej jesieni“ i „Ucieczki Felka Okonia“.

W noweli Marii Dąbrowskiej mamy Dąbrowską nową, bo po raz pierwszy piszącą o współczesności i Dąbrowską historyczną, bo jest w tej noweli wiele jej dawnych, ulubionych idei. Jest w niej przecież pochwała pracowitości, chciałoby się rzec, pozytywistycznej pracowitości Bogumiła Niechcica, owych ludzi, którzy swą skrzętną codzienną pracowitością służy społeczeństwu. Jest w niej i inna również powtarzająca się z dawien dawna idea — mierzenia ustroju, układu społecznego jego bezpośrednią pomocą w życiu prostego człowieka, co niejako perspektywę tej oceny ścieśnienia. Chciałoby się powiedzieć, iż „Trzecia jesień“ — od wyglądu prozy poczynając, na jej wykładni ideowej kończąc — jest nadzwyczaj charakterystyczna dla piarski. Ale przecież wychodzi w tym opowiadaniu Dąbrowska przeciw widokom socjalizmu, ale przeciecz z tych isticie własnych równań wyprowadza wyniki inne, niż w swej twórczości przedwojennej, zbieżne, zgodne z naszym poglądem na zadania i cele rewolucji. A próbuje i pochwała ją — mimo tych czy innych bystrzych akcentów krytyki — w samej istocie. Bez bałwochwaltwa obwołującego jedno opowiadanie szczytem nowej literatury, bez bałwochwaltwa, w jakie wpada Mauersberger, bez nowego wróżbiarstwa, iż droga wiedzy tylko tego, można powiedzieć, że „Trzecia jesień“ — to dowód ludzkiego patriotyzmu, właściwego Dąbrowskiej od dawna, co w obecnej chwili oznacza — patriotyzmu socjalistycznego.

„Ucieczka Felka Okonia“ wzbudziła bardzo różne opinie. Nie chodzi mi w tej chwili o ocenę wartości artystycznych „Ucieczki“, utworu utrzymanego — moim zdaniem — w swoistym, nie zawsze właściwie odczuwanym i rozumianym sztafetu. Chodzi mi o ideę główną tej noweli, o jej wymowę generalną, która — przy wszystkich różnicach pióra autorki „Nocy i dni“ i twórcy „Czerwonych tarcz“ — jest według mnie podobna, co idea i wymowa „Trzeciej jesieni“ — ludowy, socjalistyczny patriotyzm, przywiązanie do narodu i pochwała drogi, którą wybrał.

Wydało mi się, że po okresie burzliwych przeobrażeń, które doprowadziły owych pisarzy na pozycje „Trzeciej jesieni“, po okresie, który dziś wydaje swój najwspanialszy rezultat w konsolidowaniu się ideowym pisarzy — nie ma powodów istotnych, aby stwarzać takie fikcyjne granice między realizmem socjalistycznym i „innymi możliwościami“, jak to uczynił łow, Kruczkowski.

Wydało mi się, co więcej, że przegrody takie wynikają z nacisku dawnych sugestii co do twórczości tych pisarzy, z nieprzetraszających pojęć, z ciasnego rozumienia realizmu socjalistycznego, które się u nas zakorzeniło. Kto mówi prawdę o socjalistycznej przebudowie naszej ojczyzny jest co ipso socjalistycznym realistą. Sens wypowiedzenia takich rozgraniczeń (w odniesieniu do analizowanych w związku), jest podobny do twierdzenia, dość dziś modnego, iż tylko pierwsze pięćdziesiąt lat polskiej literatury po wojnie posiadało u nas wartość

(Dokończenie na str. 4)

TADEUSZ KUBIAK

PIEŚŃ O DRZEWIE CYNAMONOWYM

Widziałem domy opustoszałe,
okna rozwarła na przestrzał.
Tych okien nigdy nikt nie zamykał
ani wśród burzy, ani wśród deszczu,
wśród gradobicia, wśród mrozu i śniegu.

W tych domach wiatr — gość nieproszony
włóczył się z kąta w kąt i wymiatał
z podłogi promień kobiecego włosu,
z pościeli ciepło męskiego ciała.
Domy wygasłe z ludzkiego ciepła

Widziałem w domach tych paleniska,
którym odjęto na zawsze ogień.
Kominy, z których w powietrze jasne
nigdy nie wzniesie się dym na pogodę.
Domy odwykłe od życia, od ludzi!

Znam domy mojej ojczyzny. To nie były
domy miłości, ani rozkoszy,
ani starości, ani modlitwy.
Ani pierwszych, ani ostatnich słów.
To nie są nawet domy żaloby.

Ach, tak! Bo drugi raz nie można
zabijać raz już zabitych. Ale
można się podkraść pod inne domy,
nocą w drzwi kopnąć i wejść
przez!

I komu? ludziom, którzy w nich śpią,
których marzeniem było wstać o świcie.
Kobiecie spodziewającej się dziecka.
Mężczyźnie spodziewającemu się głodu.
Ludziom niezmiernie zwykłym — jak drzewa.

Ach, ludzie. Których nie było udziałem
wychodzić z miasta pod milczeniem gwiazd,
w obojętności wojennego nieba

dzielić się chlebem zeschłym na kamień,
nie rozumiecie tego. Słuchajcie!

Oto z przestrzeni tak wielkiej, że głos
każdy rozwiewa się w niej jak puch,
dochodzi do mnie wołanie, krzyk.
On jest silniejszy od wiatrów przeciwnych,
od głosu poetów umarłych i żywych.

To ludzie, którzy — jak mówią tam o nich —
„nie są nawet komunistami“
wołają do mnie. Lecz mogą być
wołem roboczym w tym pięknym kraju,
o którym wiem tak niewiele.

Cóż wiem o kontynencie
topiącym czoło w Oceanie Lodowatym,
tkwiącym stopami w Ziemi Ognistej.
Znam ledwie jednego człowieka, mowi
tym samym językiem co lud Gwatemali.

On jest poetą. Od niego wiem,
że wszędzie tam żyją ptaki barwne —
kolibry, krzew zwie się arakaria,
inny ptak tukan, za bestia jaguar.
I rośnie drzewo cynamonowe.

Wiem też, że jest to święte drzewo Indian.
Jego gałązka wyobraża pokój.
Lecz świat opada tam z liści i piór.
I stoją drzewa czarne i nagie.
I milczy niebo bez ptaków jak martwe.

Ludzie, jak długo jeszcze będziemy
budować w słońcu — a nocą ciemną
zrywać się z snu, wołając — matko.
I nasłuchiwać kroków za oknem.
Jak długo jeszcze?

ZBIGNIEW MITZNER

Życie i schematy

Wśród pisarzy, wśród satyryków w szczególności, bo ich znam bliżej i o nich chcę mówić, istnieje obawa stykania się z życiem.

Wydało mi się, że u podstaw tej obawy istnieje jakaś głęboka a niesłuszna troska, którą trzeba obalić, troska o własne, ugruntowane wewnątrz swojej świadomości schematy. Wydaje mi się, że istnieje obawa, że życie jest nie schematyczne i nasza obawa przed zetknięciem się z życiem wsi polega na tym, że wszyscy — a przynajmniej większość z nas — posiadamy schematy tego życia. Schematy niesłychanie ubogie i ograniczone. Kiedy tymczasem to życie na wsi do wodzi, że jest ono niesłychanie bujne i niesłychanie interesujące, również i dla satyryka.

Nie będę nazywał tego widzenia życia taką normalną nomenklaturą i nie będę mówił, że takie widzenie życia i taka obawa przed szerszym spojrzeniem na nie jest drobniomieszczańska, ale w każdym

razie w tym spojrzeniu coś drobnego, mikroskopijnego na pewno istnieje.

W naszej pracy, która spotyka się w tej chwili z niesłychanie głębokim i coraz bardziej rozszerzającym się oddźwiękiem czytelników, mamy opory i spory dotyczące t.zw. adresów. Mówię tu o utworach małej formy, mówię o t.zw. adresie-satyrze. Powiada się, że pisarz musi od tego adresu czasem uciekać, albowiem taki adres pacy jego twórczość w dziedzinie małych form satyrycznych.

Nie mam zamiaru tu podnosić zasady, że literatura — jak to mówił Putrament — nie ma być książką załazę, niemniej jednak wydaje mi się, że rozszerzenie tego sformułowania, nie przez Putramenta, ale innych pisarzy, że literatura i satyra nie mają być interwencją, jest całkowicie niesłuszne.

Wydało mi się, że literatura, którą budujemy, literatura, którą chcemy mieć, ma być nie czym in-

nym, jak właśnie literatura współkształtowania życia i wówczas, jeżeli tak spojrzymy na naszą satyrę, to w inny sposób będziemy odnosić się do przykładów życia, które mają to do siebie częstokroć, że są one bardziej przejawskrawione i bardziej ostre satyrycznie, niż wyobrażnia samego satyryka.

Satyryk odrzucający z niechęcią dokumenty życia i sprawy życia, które do nas przychodzą, a zdający się na swoją niktą, nieostą i niestety często jeszcze zalakierowaną wyobraźnię, przypomina mi człowieka wychodzącego z własną, lekko kopącą świeczką w piękny, jasny słoneczny dzień. Życie świeci tym pięknym słonecznym światłem, a on twierdzi, że najciemniejsze światło, jakie ono może dać, to światło tej świeczki. To wypacza świadomość roli, jaką satyra ma odgrywać. Przeszkody te są oczywiście niesłychanie ważne i ich przewyciężenie może pozwolić na dalszy rozwój satyry.

Zbigniew Mitzner

ZDYSKUSJI NA ZJEŹDZIE

KAZIMIERZ KORCELLI

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

Nie wolno nam zawięzać zaufania

Lublin

nie jest już miastem „cudów“

Słyszeliśmy tu na sali o jakimś „nowym kursie”, „innym wietrze”, który powiał po ostatniej sesji Rady Kultury. Nie wydaje mi się, aby te terminy trafnie charakteryzowały obecną sytuację w literaturze. Kierunek pozostał ten sam i nie może być inaczej w kraju, który w ostrej drogiej i gigantycznej pracy buduje nowe życie i walczy ma wycieczną i jasną.

Elementem nowym w sytuacji literatury jest to, że Partia przychodzi nam znów z pomocą, usuwając z drogi przeszko, poszerzając nasze spojrzenie na nasze własne możliwości.

Wydaje mi się, że jest to dowód zaufania, którego nie wolno nam zawięzać. W praktyce oznacza to zwiększenie odpowiedzialności wobec narodu, wobec Partii, wobec sztuki.

Myslą i uczuciem jesteśmy z klasą robotniczą, z krajem. Ale co z tego, jeśli w tym wspólnym marszu będziemy kuleć. Obowiązkiem przeto naszym jest szkolić myśl i warsztat pisarski, dramaturgiczny. Realizm socjalistyczny bez spłyceń i wąskiej interpretacji, metoda poznawania, ukazywania życia w jego prawdziwej, złożoności rozwoju w dramatyzmie — szczególnie chyba bliska i owocna jest dla tego gatunku literackiego, który nazywamy dramatem.

(...) W tym miejscu nie od rzeczy będzie przypomnieć, że twórczość sceniczna to bardzo swoi-

sta dyscyplina pisarstwa, trudna, „najtrudniejsza forma literacka”, jak stwierdza Gorki, on, który miał prawo jak nikt o tym mówić, autor niezapomnianych sztuk i genialnych powieści.

Zbyt często jednak o tym zapominamy. Mam tu na myśli kierowników teatru, pracowników Ministerstwa Kultury i Sztuki, krytyków, a przede wszystkim nas piszących na scenę.

Nie poruszając zasadniczo sprawy krytyki teatralnej, pragnę jedynie zwrócić uwagę, że niektórzy nasi krytycy nie zawsze pamiętają o trudnościach związanych z twórczością sceniczną, o tym, że ta gałąź literatury, jak wiemy z historii, rzadko rodzi owoce. Zbyt powierzchowne przyswajanie sobie tych prawd wpływa na nie zawsze celne sformułowanie sądu o stanie naszej dramaturgii, często krytyka słabości naszego pisarstwa przeradza się w biadolenie, utarty slogan o mizerocie dramaturgii.

(...) Utwory różnego rodzaju i gatunku świadczą, że dramat u nas żyje, przezwycięża błędy, korzysta z doświadczeń i chce coraz skuteczniej służyć naszej scenie narodowej. Potknięcie na tej niełatwej drodze będzie jeszcze pewnie mało, ale nie powinno to nam przesłaniać zasadniczej perspektywy na kształtowanie się dramaturgii i na jej rozwój w nowych warunkach społecznych. Ważnym elementem rozwoju jest tu ideowa dojrzałość pisarzy i sprawność naszego warsztatu. Wskazania Partii, teoretyczny dorobek ostatnich narad usu-

wają niejedną przeszkodę w naszej pracy. Jeśli niektórzy krytycy nie zawsze pamiętają o trudnościach, które w tak zdecydowany sposób określił Gorki, to dużo gorzej jest, gdy o tych trudnościach nie pamiętają pisarze sceniczni.

Niestety, wielu z nas dość beztrośnie przechodzi obok tych trudności, sądząc, że jeżeli robimy jakąś opowieść na dialogi, to w efekcie tego zabiegu powstaje sztuka teatralna.

Ta beztroška, brak odpowiedzialności w dramatycznym organizowaniu materiału, niecierpliwość w pracy — powodują nie jedno nieporozumienie między twórcą a teatrem. Niewątpliwie w polityce kierowników teatrów są poważne niedomagania, ale głównym powodem rozczarowań, goryczy i pretensji jest zbyt słaba znajomość sceny u samych pisarzy, mała skuteczność środków artystycznych, zbyt słabo rozwinięty samokrytycyzm.

Pierwszym przeto warunkiem do istotnego przełomu w dramaturgii jest dopracowanie się w nas samych bardziej precyzyjnych artystycznych narzędzi, szersze otwarcie oczu na własne niedomagania. To zastrzeżenie rygorów w stosunku do samego siebie łatwiej nam przyjdzie, gdy uświadomimy sobie odpowiedzialność społeczną naszej pracy, gdy ujrzymy widownię na niej spracowanych ludzi, którzy przyszli, bo zawierzyli autorowi i teatrowi.

Kazimierz Korcelli

ZDZISŁAW HIEROWSKI

Odpowiedzialność pisarza

Jestem naprawdę szczęśliwy, że nie sam z tej tribuny będę mówił o problemie Ziemi Odzyskanych, że nie sam będę wskazywał na pewne braki, niedociąganie sprawy, którymi powinna się zainteresować nasza organizacja pisarska. Szczęśliwy jestem, że w tych sprawach padł tutaj głos kol. Wirpsza, ale również nie ma tutaj powodu do zbytnej radości, bo głos ten był niepokojący. Sytuacja kulturalna niektórych ośrodków terenowych, zwłaszcza na Ziemiach Odzyskanych wygląda tak, jak przedstawił kol. Wirpsza, ale trzeba powiedzieć, że ta sytuacja w niektórych ośrodkach Ziemi Odzyskanych zaczyna się obecnie poprawiać. Mam tu na myśli przede wszystkim teren śląski, woj. sta-

linogrodzkiej, które tutaj reprezentuję, gdzie w ostatnich miesiącach dzięki pracy literatów, dzięki ich inicjatywie, ich krytyce sytuacja kulturalna zaczęła się zmieniać w sposób radykalny na korzyść, zaczęto odrabiać pewne zaległości, zaniechania, pociągnięcia likwidacyjne, które się przyczyniły do zubożenia naszego życia kulturalnego na tych terenach i w tych ośrodkach.

Chcę zwrócić uwagę, że pozycja pisarza, literata z „terenu” jest odmienna, niż tutaj w stolicy. Właśnie to zagadnienie, że pisarz poza stolicą jest równocześnie w pewnej większej lub mniejszej mierze działaczem kulturalnym, społecznym, często politycznym, że tym zagadnieniem musi sprostać, to jest zagadnienie kształtowania się sytuacji kulturalnej i pisarza w ośrodku terenowym, zagadnienie istotne. Tymczasem to co słyszeliśmy ze słów Wirpsza, to miało być dość powszechne — miałowicie ogłaszanie niektórych terenów z pisarzy, terenów — Wrocławia, Poznania, Szczecina, Gdańska. U nas na szczęście ten proces został już zahamowany. My reprezentujemy środowisko bardzo mocno związane z terenem i które z tego terenu nie zamierza zrezygnować. Sytuacja w naszym środowisku jest taka, że niewielu znalazłoby się kolegów, nawet bardzo zaproponować mieszkanie w Warszawie, przeprowadzić się tutaj. Nie, bo my mamy pewne poczucie obowiązku wobec terenu, odpowiedzialność za pracę na tym terenie.

Zdzisław Hierowski

WITOLD WIRPSZA

Skutki szkodliwej teorii

W

Szczecinie Związek Literatów został bardzo silnie ostabiony od roku 1950. W okresie sprawozdawczym opuścili Szczecin następujący pisarze: Andrzejewski, Osmańczyk, Woroszyński, Brotny. Przybył w tym okresie jeden rzeczywisty członek Związku kol. Rydzewska i to przybyła z terenu Ziemi Odzyskanych, z Jeleniej Góry, a więc przełożono pisarza z jednej kieszeni do drugiej Szczecin został w szczególności sposób objęty centralizacją. Zaplanowała się odława teoria, że środowisko powinno rosnąć własnymi siłami, a więc środowisko artystyczne również. Wydaje mi się, że przy tej sytuacji, jaką mamy w Szczecinie, nie wychodzą ani jednego pisarza, bo środowisko artystyczne jest zbyt słabe, a wyższej uczelni typu humanistycznego w Szczecinie nie ma. Nie wychowaliśmy ani

jednego aktora dla szcze-

cińskiego teatru, ani jednego plastyka, bo nie ma szkoły plastycznej, ani jednego muzyka dla szcześcińskiej Filharmonii, bo nie ma konserwatorium. Mnie się wydaje, że te sprawy wymagają generalnej rewizji. Korzenie błędów nie tkwią u nas na Ziemiach Odzyskanych, ani w Warszawie. Złe rozplanowanie sieci szkół, złe gospodarowanie kadrami pisarskimi i artystycznymi. Szczecin posiadający Filharmonię i teatru na dobrą sprawę nie posiada krytyków muzycznych i teatralnych, nie mówiąc już o literackich.

Dalej, teoria Ziemi Odzyskanych w naszej literaturze jest zbyt słabo reprezentowana. Jest to wynikiem tej fałszywej polityki kadrowej. Powiem jeszcze więcej: miasto wojewódzkie, jak K. s. alin. od 1943 r. nie miało ani jednego wieczoru autorskiego.

Ostatnim pisarzem,

który był w 1948 r. był Władysław Broniewski, potem już nikogo nie było. W Zielonej Górze sytuacja jest bardzo podobna. Jaki uniosek? Mnie się wydaje, że jeżeli chodzi o środowisko literackie, to trzeba z jednej strony zrobić to, co już zrobiono z plastykami, mianowicie trzeba osiedlić pewną grupę pisarzy w tamtejszym rejonie, dlatego, że nowych pisarzy ta ziemia tak przedko nie urodzi. Młodzież gimnazjalna o uzdolnieniu literackim opuszcza Szczecin, bo nie może się dalej uczyć, przechodzi do Warszawy, Krakowa, Poznania, tam wstępuje na polonistykę, czy inny wydział humanistyczny. Trzeba osiedlić pisarzy, którzy by byli tam nie jako działacze kulturalni, ale jako pisarze, którzy by pisali o naszych sprawach.

Witold Wirpsza

RYSZARD MATUSZEWSKI

Krytyka to też literatura

D

o zagadnieniu, które — jak można było wnosić z obu referatów — po winny stać się jednym z tematów dyskusji zjazdowej, należy niewątpliwie przebiec nasze krytyki. Nie wąskopółkę jej ostrych słów kol. Kruczkowski, zali się na nią parokrotnie, kiedy przyszło do mówienia o sprawach bolesnych, kol. Brandys. Znow jedna ze spraw tak oczywistych, że wiasciwie trudno nawet dyskutować o nich, zali się zaprzeczcie, że krytyka nasza jest słaba; nie robi tego zaaden z pisarzy, nie ośmieli się tego zrobić tym bardziej zaaden z oskarżonych, tzn. krytyków.

Choć jednak z twierdzeniem tym trudno polemizować, wydaje mi się, że nie wystarczy na nim poprzestać, należałoby zagadnienie to — szeroko zreszta omawiane na Radzie Kultury przed rokiem — poddać analizie jako jeden z nie najmniej ważnych problemów wiążących się z literaturą.

Na czym polegają główne braki naszej krytyki i jakie są ich przyczyny? Wydaje mi się, że można wyodrębnić dwie kategorie tych braków: jedne z nich wynikają z faktu, że stan krytyki wiąże się w dużej mierze ze stanem samej literatury, że krytyka — i tu chcianby przeciwstawić się pewnym akcentom referatu kol. Kruczkowskiego, traktującego krytykę jako coś odrębnego, przeciwnego twórczości oryginalnej — jest, powinna być, jeśli ma mieć jakąkolwiek wartość — częścią literatury. Z drugiej strony jasną jest rzeczą, że krytyka, a nawet najświeższa, tylko w pewnym zakresie może wpływać na literaturę, kształtować ją, bo tym, co kształtuje literaturę przede wszystkim, jest bezpośredni związek pisarza z życiem, historią, ludzmi. Krytyka przez głęboką znajomość ogólnych praw rządzących życiem ludzkim, przez rozumienie tej szczególnej formy utrwalania procesów w świadomości ludzkiej i obrazowania życia, jaką jest twórczość literacka, może w najlepszym razie okazać skromną pomoc pisarzowi. Ponadto może też powinna spełniać rolę, która zbliżająca jego dzieła do czytelnika, ukazania temu czytelnikowi szerszych perspektyw, jakie to dzieło otwiera.

Ktoż to jest bowiem krytyk? Jest to a raczej powinien być, najczulszy, najwrażliwszy i najnikliwszy czytelnik dzieła. Czytelnik, który sam taki, jak ten literackim, talentem innego rodzaju, aniżeli talent powieściopisarza czy poety, ale talentem w pracy jego tak samo niedozwolnym, jak w innych dziedzinach twórczości — talentem mówienia w piękny, przekonujący sposób o utworze literackim. I nie tylko o samym utworze, ale także o tym, co się w szerokim sioła tego znaczeniu z utworem wiąże. O jego perspektywach myślowych, filozoficznych, o epoce i o tradycjach literackich, które utwór zrodził, o zjawiskach i ludziach, których życie pisarz obrazował, o wszystkim, na co otwiera horyzont dzieła pisarza.

Tylko w ten sposób pojęta krytyka może spełnić zadanie prawdziwego współtwórcy literatury. Kiedy taka krytyka powstaje? Przede wszystkim z dzieł literatury pozwala stwierdzić, że istnieje pewna wzajemna zależność rozwoju literatury i krytyki, że wielka krytyka pojawia się zazwyczaj wtedy i tam, gdzie rozdziły się równocześnie nowe, światła zjawiska w literaturze, i wiedza tam, gdzie wiedza literatury.

Il. Jest to oczywiście jakaś zależność absolutnie konieczna. Bywa, że krytyka opóźnia się w stosunku do literatury, bywa, że ją wyprzedza. Ożywienie i nagła miętność moralnego protestu literatury przeciwko lat powojennych — to przede wszystkim, jeszcze przed tym, oczywiście i najmniejszą krytyki, stawiającej już w pierwszych miesiącach po wyzwoleniu śmiało, pełne rozmachu przypływu do literatury. Okresy zbliżania się do literatury — to również bezpłodność krytyki, wędrowną zarówno w dusznej atmosferze artystowskiego czystelastwa, jak w atmosferze zablenu i szlamy, które tak samo, często jeszcze częściej, udeślają się krytyce niż literaturze. Pojawienie się ciekawych, budzących dyskusję utworów, ożywiło i w ostatnich latach przełomnie nasza krytyka, a jeżeli ożywiła ją w sposób niedostateczny, to dlatego, że działała to wiele różnych skomplikowanych czynników, o których jeszcze wspomnę.

O krytyce, jeśli ma być twórcza, winna mieć ambicję wyprzedzania literatury, stawiania jej owych śmiałych propozycji, które tworzą klimat, sprzyjający powstawaniu wielkich dzieł sztuki. Ale krytyka z istoty swojej nie może oderwać się od literatury, zarówno współczesnej, jak i literatury wieków minionych, nie może tracić z oczu wielkiej miary dzieł klasycznych, nie może przestać mierzyć swą własną współczesność — z jednej strony ta miara, z drugiej — z naszych najbliższych wyobrażeń o

przyszłości, o kształcie, jaki sztuka na-

dać i może nadać naszym trudom i marzeniom.

Krytyka ograniczająca się do samej powierzchownej rejestracji zjawisk literackich, podobna jest ilustrującą wyłączenie rejestracji życia, nie pomaga ani pisarzowi, ani czytelnikowi.

Z tego, że krytyka jest częścią literatury, czyli jej losy, wynika fakt, że na jej rozwój nie mały wpływ mają sami pisarze. Zale na brak krytyki, interesując się tym czym innym zjawiskiem, tą czy inną dziedziną twórczości literackiej, są zalemi, których konkretny adres trudno ustalić, pomijając możliwości pobudzania, inicjowania, twórczej dyskusji nad zagadnieniami literatury, jakie tkwią w samym środowisku pisarzy.

Krytyki naszej, w której sytuacja jest taka, że przeciętny wiek jej adeptów nie przekracza na ogół trzydziestki, a czasami nawet pięćdziesiąt, nie ma więc perspektyw — nie wywołuje w chwili obecnej ani uniwersytet, ani największy nawet wysiłek kilku krytyków starszego pokolenia, nie w których skromny poczet zalicza się u nas bodaj że każdego krytyka po trzydziestce.

Krytyka ta powstać może tylko w atmosferze wymiany myśli, gorącej miłości dla wielkiej, prawdziwej sztuki, szacunku dla trudu pisarza. Ogólne warunki takiej atmosfery stwarza nasz czas. Realizacja tych warunków zapewni może tylko cały nasz pisarski kolektyw — w konkretnej pracy w naszych czasopiśmie literackich, w dyskusjach na naszych sekcjach.

Komisja Krytyki, o której niesławnej działalności już nie będę wspominał kol. Kruczkowski, była moim zdaniem w obecnej naszej sytuacji pomysłem zupełnie poronionym. Reprezentowałem ten pogląd od początku jej istnienia, życie potwierdziło jego słuszność. Nie można krećć bicia z piasku. Nie jest to jednak kilka czynników krytyków, mogących tylko z wielkim trudem sprostać zaledwie częście odpowiedzialnych, twórczych zadań, jakie przed nimi stoją, obarczać lekko i s.

tykowymi i ponadto zupełnie niesprecyzowanym obowiązkiem organizacyjnym.

Zle jest, jeśli krytykę pojmuję jako coś istniejącego na zewnątrz, niezależnie od literatury. Zle jest, jeśli krytyka sam nie uważa się za pisarza, zle, kiedy kościele jego wrażliwość na piękno, kiedy jego poczucie, że jest częścią literatury, i odbiera styl.

Wiele czynników działa pod tym względem demoralizując na naszą krytykę. Recenzja napisana do dziennika czy agencji w formie krótkiego felietonu czy esaju, wydająca się często redaktorem tych instytucji czymś nie dość zasadniczym, nie dość wyważonym; domagać się apertekarskiego wydozwolenia pochwał i zarzutów, obawiała się metafory i trybu warunkowego, chęć zachowania protokołu, który zaleca wszelką ścisłość myśli i odbiera styl.

Jak mają bronić się przeciwko temu nasi często bardzo młodzi i niedoświadczeni krytycy? Co może pomóc im w tym, by zostali pisarzami, a nie protokolantami?

Sądze że tylko żywy kontakt z wielką literaturą, a także zrozumienie właściwego sensu ich pracy ze strony pisarzy. W zarzutach pisarzy pod adresem krytyki, obok postulatów głęboko słusznych, obok pełnego zrozumienia dla zadań i trudności amatorskiej krytyki, była też pretensja małostkowa, osobiste. Charakterystyczne jest, że kiedy pewne ożywienie w literaturze udziela się i naszej młodej krytyce, kiedy pojawiają się — jak na przykład ostatnio — nieco śmieszne, naciągane, większą indywidualnością wyrażone recenzje, budzą one często u pisarzy niepokój i rozdrażnienie. Młody krytyk stosujący wobec literatury nieco surowszą miarę, której domagamy się w teorii, spotyka się w praktyce z protestami i niechęcią. Nie licza się one z tym, że ma on prawo i nawet obowiązek walki o określony wzór literatury, że trzeba mu dać, podobnie jak każdemu innemu pisarzowi, czas na pełne określenie swego stosunku do literatury w szeregach pracy, że nie zdoła on tego uczynić, jeśli każda jego recenzja zechce doprowadzić do stanu absolutnej, apertekarskiej wyważonej „ni-jakosi”.

Z drugiej strony — trudno oczywiście dziwić się pisarzom, skoro sposób polowania zadań krytyki w opinii niektórych wydawnictw czy instytucji — powszechnością bywa czasem bardzo swoisty. Pewne recenzje uważa się za rodzaj wyroku, którego rezultatem bywa zrywanie umowy z pisarzem na inną jego książkę, lub drugi tom tej, która została skrytykowana. Dowodzi to nie tyle autorytetu krytyki, ile jej słabości. Przypomina nam o tym, że jedną z głównych przyczyn tego stanu rzeczy jest zastanawianie mała liczebność kadry krytycznej, wynikający stąd brak krytycznych sądów różnych sądów i opinii o sztuce, brak dyskusji, nie mówiąc o złowrogim milczeniu, z jakim spotyka się wiele dzieł i na jakie słusznie uskarżają się pisarze.

Jak temu zaradzić? Skąd wziąć owych krytyków, którzy nie będą przecieć jasne, że tak jak nie można żądać od powieściopisarza, aby napisał w ciągu 4 lat czterech powieści zamiast dwóch, tak i możliwość zwiększenia wydajności pracy czynnych krytyków jest przecieć ograniczona.

Sprawą ta nie jest prosta, wiąże się po trosze i ze skomplikowanymi zagadnieniami systemu studiów humanistycznych

nych na naszych uniwersytetach, stu-

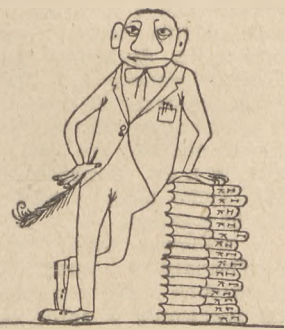
diów, bez których utwierdzenie jest rozwój talentu krytyka. Wiąże się ona jednak, i to chciałbym raz jeszcze podkreślić, ze stosunkiem naszej organizacji z zagadnieniem jakości, naszego pisarskiego środowiska, do zagadnienia kadry krytycznej, z atmosferą dyskusji o literaturze, jaką potrafimy wytworzyć w pracach naszych sekcji twórczych, z atmosferą żywego gorącego stosunku do zagadnień literatury, będącego jedyną ręką kształtowania się i doskonałości naszej krytyki.

Nie możemy czekać na krytykę, która spadnie z nieba, musimy ją sami wśród siebie, wśród obcujących z nami młodzieży literackiej i polonistycznej odnaleźć, wykształcić, musimy mieć do niej stosunek pozbawiony niechęci, pełen troski i woli współpracy. Niedobra atmosfera złościwości, która niedawno jeszcze cechowała pewne wystąpienia wobec takich placówek jak Instytut Badań Literackich, niezaleśnie od wielu poważnych braków w poszczególnych pracach wydanych pod egidą tej instytucji, nie jest zjawiskiem zdrowym, nie przyczynia się na pewno do poprawy sytuacji w naszej krytyce.

Od nas zależy w dużej mierze, by z grona młodych ludzi skupionych czy to wokół IBL, czy gdzie indziej, wyszła kadra sumiennych, wrażliwych na piękno literatury krytyków i badaczy, działających nie w izolacji, ale w ścisłej współpracy z naszym Związkiem.

Powstanie uczciwej, sumiennej i zarazem namiętnej, pełnej żaru krytyki, która by pomagała literaturze zdobywać serca czytelników, zależy w dużej mierze od nas. Nie przeciwstawiamy krytyki literaturze, traktujemy ją jako jej częstą, chronimy ją przed skostnieniem, obajmy, aby była tak samo jak każdy inny rodzaj literacki celnym narzędziem przekazywania prawdy o naszych czasach, by pogłębiała wiedzę o literaturze, budziła dla niej miłość i szacunek.

Ryszard Matuszewski

STANISŁAW JERZY LEC
O PEWNYM POECIE

Rys. L. Zahorski

Miał tysiące książek w domu.
Cały nakład swego tomu.

MICHAŁ RUSINEK

O pełne prawa dla powieści historycznej

C

hciałbym omówić jedno zagadnienie. Chciałbym, aby na tej sali padł głos, daremnie przez nas oczekiwany na zebraniach sekcji Prozy i dotąd nie słyszany wyraźnie na tym Zjeździe, głos domagający się pełnych praw rozwojowych i równości obywatelskiej dla nowej polskiej powieści historycznej, pragnącej jak najlepiej służyć dzisiejszemu.

Wiem, że to prawo równości może sobie dopowiedzieć, bo chyba mieści się ono w samym dążeniu do wielkiej, postępowej literatury epoki socjalizmu, ale dlaczego tylko domniemywać zamiast jasno i śmiało wypowiedzieć.

I nie będzie to bynajmniej głos w osobistej sprawie. Niektórzy koledzy wiedzą, że skończyłem już mój debiut historyczny, oddałem całokształt do druku i wracam do tematyki współczesnej. Chodził mi więc o sprawę zasadniczą, o to czy zainteresowania naszej prozy mamy skupić na temacie współczesnej w roświelewnym znaczeniu.

Z ust kol. Kruczkowskiego padło stwierdzenie, że dramaturgia polska niemal na drugi dzień po konkursie produkcyjnym zrezygnowała do historii. Jest to niewątpliwie prawda. Sztąfete dramaturgii na mecie historyczną poprowadził: Maliszewski, Brandstaetter, Auderska, Morstin, Korcelli i wielu innych. Takiej jednak drużyny wyprawy w dawne wieki nie za-

obserwowaliśmy w prozie belewistycznej i wcale ona nam nie grozi, bo hamują ją dwie przyczyny. Jedna, to fakt, że proza współczesna nie ponosiła tak dotkliwej jak dramat klęski na szanę tematyki produkcyjnej, a może w sumie w ogóle jej nie ponosiła, z drugiej zaś strony sam trud przedstawiania pór na-
wizje historycznej — jest nieporównywalnie większy w prozie niż w dramaturgii.

Podobnie jak szeregiem poronionych prób podjętych w tematyce współczesnej obciążamy niesłusznie

celne i chwalebne osiągnięcia wielu młodych autorów, tak i odwrót dramaturgii ku historii rzucił naszasłuszony cień na belewistykę historyczną, na ogół przecież w stosunku do całosci naszej produkcji ilościowo niską.

Trzeba jednak powiedzieć jasno, że belewistyka historyczna traktowana jest nieco po macoszemu. Autor niosący czytelnikowi swój pól historyczny odczuwa wstydlive macierzynstwo, jak gdyby powł niesłubne dziecko. W dawnych metrykach dano by mu napisz „thoro illegitimo”, choćby miało pełniejszą się i zdrowie i choć wypieszczone, byle przy tym mniej wrzaskiwe niż poniekąd wyły osyryk pochodzący z tzw. prawnego łozu.

A tymczasem autor dzieła historycznego zawiera często ślub z współczesnością i to prawy, oparty na szacunku i ufności, bo chyba nie potrzeba tu mówić, że powieść historyczna może niekiedy być bardziej współczesna niż współczesna, może nieść w sobie bogaty ładunek prawdy o dzisiejszości, jako wielka metafora spłatająca minione wieki z dzisiejszym, jako konfrontacja epok i sił w nich działających.

Trzeba nam pamiętać, że historyczna zainteresowania czytelnice w Polsce mają długotrwałą tradycję, zbudowaną znakomitymi pod względem artystycznym osiągnięciami dawnego pisarstwa. Co więcej, zarówno młodzież, jak nowy nasz czytelnik, chłop przede wszystkim, łączy tęsknotę czytelnicza z instynktowną chęcią poznania — chciaby się jednocześnie wzruszać i uczyć. Z zachłannością bierze do ręki dzieło historyczne pewny, że tam czeka na niego nie tylko dobra i niezwykła przygoda, ale i wiedza o czasie i człowieku, ow, składają zresztą zdrowy nurt czytelnicy, bo oparty na dobrej artystycznie literaturze, kształtujący smak czytelnika, nie da się jednak skierować wyłącznie w inne łozisko i prostym następstwem rzeczy płynie po dawnej, wielkiej rzce

powieści historycznej naszej czy tłumaczonej, często na dodatk emilając rąf ciężkawych wstępów i nudnawych komentarzy do dzieła.

Rozumiejąc i doceniając pilną potrzebę dzieł o dosłownej współczesności nie zgłaszam bynajmniej apelu o skierowanie naszej uwagi na tematykę historyczną — sam jak mówiłem zasiałem do dzieła współczesnego — ale oświadczam, że głos w imię wszechstronności naszego pola widzenia, głos walcący i o tę szanę wzbogacenia literatury naszej doby, inaczej umniejszamy geografie naszych poszukiwań twórczych o cały wielki ład, który będzie nadal porastał puszcza, kryjącą tyle wielkich nieodkrytych naszym piórem zjawisk.

Patrzmy uważnie i jak najbardziej docieklawie w dzisiejszego człowieka, w historię naszego czasu, ale bierzmy też do rąk księgi naszych dzieł i kruszmy na niej herbowe pieczęcie. Możemy mieć zaufanie do pisarstwa polskiego, że będzie umiennie odmierzyć wzajemny stosunek tych tematów do siebie. Nie róbmy literatury historycznej na dorogą potrzebę, raz o Kochanowskim, raz o Fryczu, Mo-drowie doświadczenia możemy nie zdobyć o Keeseriku, jak już nie dążymy o wielkiej zbliżającej się ku nam rocznicy Gdańska i Pomorza.

I jeszcze jedno. Obciążenia, nawyki i upodobania miałyby nie tylko pisarza, ale może w jeszcze wyższym stopniu, nasi czytelnicy. Może w wielu wypadkach łatwiej im będzie dojrzeć dzisiejszość, gdy rzucą okiem w przeszłość. Wtedy ocenia drogę przebyta, jak ów pielgrzym, który od czasu do czasu patrzy poza siebie, by czerpać siły z widoku rodzinnego pola i nie krajobrazu, z i jakże ulga i radość widzi o zachodzie słońca ledwie widoczny na nieboskwo-

nie szczyt wieży, którą minął o poranku.

MICHAŁ RUSINEK

KAZIMIERZ BRANDYS

PODSUMOWANIE DYKUSJI

Nasza dyskusja toczy się w dobrym kierunku

Chciałbym odpowiedzieć na uwagi, które padły w dyskusji w związku z moim referatem i zacząć właściwie od ubolewania. Ze uwag tych było niewiele. Często miałem wrażenie, że dyskusja, jak gdyby się od mojego referatu oderwała. Być może, że część winy za to ponosi właśnie referat, może niewiele było w nim materiału do dyskusji, albo nie był on dobitnie sformułowany. W niektórych jednak przemówieniach pewne akcenty nawiązywały do uwag, jakie wygłosiłem w referacie.

Niektórzy mówcy powtórzyli innymi słowami tezy mojego referatu. Do nich należy kol. Jastrun, który w swoim pięknym przemówieniu wyciągnął po kolei wszystkie moje uwagi, które przeczytałem w pierwszym dniu obrad: o prawie do eksperymentu, o wielkiej indywidualnej inicjatywie artysty, o udzieleniu swobody w wyborze środków artystycznych — tak, że oczywiście na dyskusję i na polemikę nie ma tu miejsca.

Z kol. Jastrunem chciałem dysputować w innym punkcie. A mianowicie: nie wymieniałem mnie z nazwiska, mówił o zbytnio optymistycznych, sielankowych tonach — (nie sądzę, ażeby takie bukoliczne tony dzwigały w moim referacie), mówił o akcentach zbytniego optymizmu, które cechowały naszą dyskusję, zwłaszcza optymizmu dotyczącego naszej współczesnej literatury. A przecież przedstawiałem w swoim referacie drogę trudną, nie wolną od goryczy, rozczarowań, trudną drogę pisarza do socjalistycznej literatury. A jeżeli wierzę, że

tu w naszym kraju i za naszego życia powstanie piękna, socjalistyczna literatura, o to można się z miną oczywście kłócić. Ale ja nie ustąpię.

Zdaje się, że zbyt złowieszcze przestrzeganie przed optymizmem zawsze grozi pewnym rozbrajaniem, niesłuszną demobilizacją. Często się zdarza, że pisarze, autorzy współcześni, wprost z kiermaszu, gdzie w ciągu kilku godzin podpisali po sto — dwadzieście egzemplarzy książki o tematyce współczesnej — przechodzą do Klubu Literatów, gdzie słyszą od swoich kolegów, że „czytelnik nie chce czytać waszych powieści o tematyce współczesnej”. Trudno się z tym pogodzić. To jest wpędzanie ludzi w kompleksy.

Wiemy, że czytelnik sięga po literaturę o tematyce współczesnej, po książkę o współczesnym życiu, której dostarczają pisarze młodego i średniego pokolenia. I to wydaje się naszą realną zdobyczą, której nie należy lekceważyć.

Szereg akcentów, które poruszyłem w swoim referacie, odezwał się i w innych przemówieniach. Z radością wysłuchałem przemówienia kol. Lichniaka. Przemówienie to potwierdziło opinię wyrażoną przeze mnie, że poszerza się krąg pisarzy, którzy idą razem z nami, którzy przylgają się do nas i jeżeli kol. Lichniak nazwał się socjalistą — nie możemy odmawiać ludziom dobrej woli, ludziom, których ogarnia nasz Front Narodowy, nie możemy im odmawiać słusznego, subiektywnego prawa do nazywania się socjalistami, choć oczywiście nasze pojęcie socjalizmu, po-

jęcie marksistowskie, jest ściślej-
sze, niż pojęcie kol. Lichniaka.

Właściwie polemizował z moim referatem jedynie kol. Putrament, za co jestem mu serdecznie wdzięczny, chociaż mam lekką pretensję, że polemizował — jak na swój temperament — zbyt łagodnie i ogólnie. Dlaczego nie wymieniał nazwisk autorów książek schematycznych, o których mówiłem, że zaśmiecały nasze rynki czytelnice? Nie wymieniał ich nie przez wrodozną uprzejmość, jak mówił kol. Putrament, ale dlatego że uważałem, iż jest to zjawisko odchodzące, zjawisko, które już zanika, przed którym nie musimy przestrzegać, pokazywać palcem po nazwiskach. Niektórzy z tych twórców są dziś na posadach w przemyśle i w prasie i może melibry komplikacje w pracy na skutek ostrej krytyki na Zjeździe Literatów... A poza tym nie wykluczam, że niektórzy z nich napiszą jeszcze książki, które wywołają większe nasze zainteresowanie. Wierzymy w rozwój talentów, nie mamy powodu skazywać ludzi na jakies określenia, przylepiać firmowe nalepki. Ludzie się zmieniają, uczą się i zdaje się, iż to jest wielka nasza siła, że w te rzeczy szczerze wierzymy.

Kol. Putrament wypowiedział kilka bardzo interesujących uwag na temat trudności tematyki współczesnej. Trudności, które widzi zwłaszcza w niemożności uchwycenia, względnie w trudności uchwycenia punktu przecięcia elementów obumierających z elementami rozwoju naszego życia. Wydaje mi się rzeczywistie, iż to jest zasadnicza trudność, z którą spotykają się pi-

sarze w pracy nad dziełami literackimi o tematyce współczesnej.

Wiąże się to z tym, o czym mówił kol. Woroszyński. Nie będę to polemizował z teorią, którą on wygłosił. Może zresztą za dużo powiedziałem nazywając to teorią. Kol. Woroszyński sformułował pewną określoną tezę, mianowicie, że rozwój walki klasowej, rewolucji socjalistycznej, obok nowych wartości przynosi także uboczne produkty rozwoju. Przynosi także uboczne zjawiska o charakterze negatywnym. Kłóciłbym się tu z kol. Woroszyńskim o sformułowanie, mimo że sprostowanie jest niewątpliwie słuszne.

Mamy dzieła literackie, i to wielkie dzieła, w których te zjawiska występują. Powolałem się na „Zorany ugor” Szolochowa. Jest tam bardzo jaskrawo ukazane zjawisko rodzenia się nowych elementów i obumierania starych, a także wkładania się między jedne i drugie ubocznych produktów walki klasowej, ubocznych produktów rewolucji o charakterze negatywnym. Ale pamiętajmy, że te uboczne produkty są zawsze spowodowane przez skrzywienia i nadużycia popełniane przez ludzi, którzy nie do końca do zjawisk nowych, lub też przez ukrytą działalność wroga. Trzeba zawsze pamiętać, że obojętności pisarza, sprawą jego odwołania jest piętnować zakłamanie, obłudę, wszystkie nadużycia, popełniane nie tylko przez naszych wrogów, ale i przez ludzi naszego obozu, którzy nie do końca do socjalistycznego poziomu moralności. Tu zakwestionowałbym słowa, które w

swoim rozsądnym przemówieniu wypowiedział kol. Szmaglewska, twierdząc, że pisarstwo nie potrzebuje odwagi, że wystarczy zaufanie do partii i miłość do narodu. Nie jest tak. Walka ze skrzywieniami, nadużyciami i wskazywanie ich palcem, nie tylko wtedy, gdy popełnia je wróg — to jest rzecz konieczna; i jest „obszar odwagi” socjalistycznego pisarza.

Proszę Kolegów! Nie polemizując z dalszymi tezami uczestników dyskusji, chciałbym wskazać na to, o czym szeroko mówiło się w kulisach w czasie przerwy, mianowicie, że była dobra atmosfera na naszym Zjeździe, że aczkolwiek — według mnie — za mało kłócono się i spierano, mimo to atmosfera była dobra, sprzyjająca pracy twórczej i dalszej dyskusji. Przemówienia kol. kol. Iwaskiewicza, Kierczyńskiej, Stonimskiego, Kowalskiego, Woroszyńskiego, Drewnowskiego i Bocheńskiego — wzruszyły mnie współnością swoich uwag i stanowisk. Są to pisarze, których dzieła daty urodzenia, formacje ideowo-artystyczne, różne drogi, które przebiegli przez 10 lat; a jednak wystąpili tak zgodnie i mówili naszym językiem. Potwierdza to jedną z zasadniczych tez mego referatu: że z różnych stanowisk, różnymi drogami, poprzez ciężkie doświadczenia — wielu pisarzy przez te 10 lat odbyło drogę ku naszym pozycjom.

Również przemówienia gości zagranicznych, przemówienie Konstantego Simonowa, Nazyma Hikmeta, André Wurmsera i innych przedstawicieli zaprzyjaźnionych narodów i literatur — miały akcenty, które potwierdzały nasze przekonania.

że słuszną jest nasza droga, że nasza dyskusja toczy się w dobrym kierunku i że troski nasze nie są obce i innym pisarzom w świecie walczącym o te same sprawy co i my.

Pamiętajmy, że Związek Literatów jest nową socjalistyczną formą środowiska literackiego, że można walczyć o polepszenie tej formy, o pewne jej modyfikacje, ale przecież trzeba zdać sobie sprawę z tego, że na zebraniach związkowych, na naszych zjazdach, że w lokalach związkowych, w rozmowach i sporach między pisarzami, członkami Związku Literatów — również na tym terenie powstają nowe wartości, nowe zdobycze naszej świadomości ideologicznej i artystycznej. Nie popadajmy w kompleksy, pamiętajmy, jak powiedział Jarosław Iwaszkiewicz, że nasza literatura jest jedną z czołowych literatur obozu pokoju i socjalizmu, literatura, na której spoczywają oczy całego postępowego świata.

I pamiętajmy zawsze, że u podstaw naszej kultury — tu zacytuje zdanie Lucjana Rudnickiego — że u podstaw naszej kultury leży praca robotnika przemysłowego i robotnika rolnego; zaciągamy wobec nich dług i — mówiąc o prawdziwie elementarnej, jaką jest wolność artysty, wolność wyobraźni, pamiętajmy, że istnieją i inne prawdy elementarne, jak ta, że czytelnik nasz żąda od nas spełnienia jego długu, ukazania w naszej twórczości pozytywnych bohaterów żyjących obecnie w Polsce Ludowej — robotników, pracowników naszej Ojczyzny.

Kazimierz Brandys

LEON KRUCZKOWSKI

Odkrywamy nowe prawdy życia

Zabierając głos dla podsumowania dyskusji, pragnę zacząć od stwierdzenia, które wydaje mi się słuszne, od stwierdzenia, że nasz Zjazd ogólnie biorąc jest pewnym krokiem naprzód na drodze rozwoju naszej twórczości i naszego życia literackiego. Jeżeli zgodziliśmy się wszyscy, że kwietniowa Rada Kultury była zapoczątkowaniem czegoś nowego na tej drodze, to niewątpliwie nasz Zjazd jeszcze wyraźniej posunął to „nowe” naprzód.

Chciałbym krótko odpowiedzieć na niektóre głosy, jakie były w toku dyskusji podniesione w związku z moim referatem.

Kol. Przybysz, m.in. zwrócił słuszną uwagę na to, że w referacie moim, poddajacym krytycznej ocenie stosowane przez nasze instytucje polityki kulturalnej działania inspiracyjne, nie wysunąłem żadnych konkretnych propozycji, pomysłów czy projektów ulepszenia tych działań.

Pragnę wobec tego wysunąć tutaj pewien praktyczny pogląd na to, jak sobie wyobrażam niektóre przy najmniej z możliwych bodźców inspracyjnych naszej polityki kulturalnej i nie tylko polityki kulturalnej, ale w ogóle naszych polityków i działaczy społecznych w stosunku do twórczości literackiej.

Na II Zjeździe naszej Partii w referacie tow. Zenona Nowaka, który mówił o zadaniach rozwoju rolnictwa, znalazł się pewien niezwykły, dla mnie przynajmniej, interesujący ustęp, mianowicie ten, gdzie referent mówił o dwóch wsiach leżących w powiecie lubelskim blisko

siebie, a zatem wsiach należących do jednego kompleksu pod względem ogólnego poziomu gospodarczego, kulturalnego itd., o wsiach Niedrzwicy i Strzyżewicach.

Za pomocą szeregu cyfr towarzysz Nowak przedstawił jak te dwie wieś, sąsiadujące ze sobą, jaskrawo od siebie się różnią, jeżeli chodzi o wyniki ich gospodarki. Różnią się zarówno, jeżeli chodzi o wydajność pól, w których uprawiają różne rodzaje upraw, jak i w zakresie stanu pogłowia, inwentarza, wydajności mleka, wreszcie, jeżeli chodzi o wyżywianie się z dostaw na rzecz państwa.

Towarzysz Nowak omówił ten przykład konkretny, dodając zresztą, że każde województwo ma takie swoje Niedrzwice Strzyżewice. Oczywiście uzasadniał ten stan rzeczy, wyjaśniał w bardzo prosty sposób, że te dwie wieś gospodarują na różnym poziomie. Jedną gospodaruje lepiej, drugą gorzej, przy czym ta, która daje lepsze wyniki, ma obiektywne warunki (jakieś gleby, jak itd.) trochę gorzej.

Ale ja, słuchając tego zestawienia gospodarki dwóch wsi, zadawałem sobie pytanie, jako pisarz właśnie, że przecież za tymi liczbami, faktami o których mówi działacz gospodarczy, polityczny, są jacyś ludzie, środowiska ludzkie, które muszą się jakoś różnić od siebie nie tylko wynikami gospodarki. Bo przecież to nie jest to samo, co znany i dawny fakt, że w tej samej wsi jeden gospodarz gospodaruje lepiej, a drugi gorzej; tutaj mamy do czynienia z dwoma skupiskami ludzkimi, z których jedno gospodaruje jaskraw-

wie gorzej niż drugie przy tych samych mniej więcej warunkach obiektywnych.

Otoż pomyślałem, że gdyby do tych dwóch wsi pójchał pisarz i usiłował szukać jakichś innych jeszcze nie gospodarczych — technicznych korzeni tych zjawisk, o których mówił tow. Nowak, to na pewno dostrzegłby poza tym wszystkim, o czym mówił polityk, działacz gospodarczy, jeszcze i takie treści, które by go zainteresowały jako pisarza. Nie chodzi oczywiście o to, żeby ten pisarz miał od razu napisać powieść o Niedrzwicy czy Strzyżewicach, ale po prostu, żeby zobaczył coś interesującego, co mogłoby stać się również bodźcem w jego pracy, a w każdym razie pomnożyłoby jego wiedzę o życiu.

Wychodząc z tego konkretnego przykładu, wydaje mi się, że nie tylko politycy kulturalni ale politycy w ogóle, nasi działacze społeczni i gospodarczy mogliby często sygnalizować naszymu pisarstwu jakieś ciekawe, czasem niepokojące dla nich zjawiska w naszym życiu, czy to w pomyśle czy na wsi — sygnalizować je i odwoływać się do pisarzy jako do tych, że tak powiem ekspertów od spraw ludzkich, żeby oni również tymi niepokojącymi czy trudnymi zjawiskami od swojej strony się zainteresowali.

Wydaje mi się, że to mogłoby być pewien rodzaj słusznych, celowych, skutecznych bodźców jakie pisarz mógłby „z zewnątrz” otrzymywać. Dla takiej sygnalizacji interesujących zjawisk, które widzą w codziennym życiu działacze „terenowi” czy działacze na wyższym szczeblu, którzy ogarniają te sprawy z jakiegoś nadrzędnego punktu widzenia, można by nawet znaleźć jakieś formy organizacyjne.

Kol. Jastrun omawiał tu szereg kolizji między pracą twórczą a związkową, czy w ogóle działalnością społeczną pisarza. Sądzę, że ta kolizja jest łatwa do usunięcia. Powtórzę tutaj to, co mówiłem na poprzednim naszym Zjeździe w 1950 r. bo ta sprawa jest wciąż aktualna i wciąż tak samo wygląda. Mówiłem mianowicie: „pisarze do twórczości” powinno być uzupełnione drugim hasłem: „pisarze do pracy związkowej”.

Pozornie wygląda to na paradoks, ale tak jest naprawdę. Im więcej członków naszego związku będzie brało aktywny udział w pracy związkowej, tym więcej w rezultacie będziemy mogli wszyscy poświęcić się pracy literackiej, pracy twórczej. Jeżeli pewna niezbędna suma pracy związkowej i społecznej spoczywa na 10 czy 15 kolegach, to tych 10 czy 15 kolegów ma znikome możliwości oddawania się pracy twórczej. Chodzi o to, żebyśmy możliwie wszyscy w pracy związkowej brali aktywny udział, a wtedy wzajemnie ułatwimy sobie możliwości pracy twórczej.

Kol. Szmaglewska miała rację, gdy mówiła o istnieniu u nas jak gdyby dwóch Związków Literatów: Związku A i Związku B. To zagadnienie Warszawa i oddziały pozawarszawskie — ono istnieje. Wskazywałem na nie w referacie i wskazywałem przyczyny — te same zresztą, które wskazywała kol. Szmaglewska: nadmierną centralizację naszych wydawnictw, naszej prasy itd. Niewątpliwie, to jest fakt, który powinien skłonić przyszły Zarząd Główny do podjęcia jak najbardziej energicznej akcji w kierunku zmiany przede wszystkim tych obiektywnych warunków dla życia środowisk literackich poza Warszawą.

Chciałbym odpowiedzieć kol. Stonimskiemu. Wyraża on obawę przed rzekomym niebezpieczeństwem zasady kolektywnej odpowiedzialności pisarzy za wszystko co się dzieje w literaturze, za wszystko, co się dzieje w naszym życiu literackim. Z argumentów kol. Stonimskiego wynikałoby, że on rozumie tę kolektywną odpowiedzialność pisarstwa niemal jako kolektywne pisanie, jako kolektywną twórczość. Oczywiście, można pokłócić się o to, co to jest, ale w naszej dyskusji było to wyraźnie nieporozumienie. Oczywiście, że nie chodzi o „kolektywne pisanie”, o to, żeby kol. Stonimski ponosił osobistą odpowiedzialność za konkretną książkę, którą pisze w tej chwili, dajmy na to, Scibor-Rylski. Ale przecież za to, kim jest, co myśli i co czuje Scibor-Rylski — również Stonimski ponosi jakąś drobną cząstkę odpowiedzialności i powinien być z tego dumny, bo to znaczy, że wywiera jakiś wpływ. Za to, kim są, co myślą i czują ludzie, którzy nas czytają i słuchają — my pisarze chcemy czy nie chcemy ponosimy odpowiedzialność.

Chodzi o to, aby ogólnie ciążąca na nas indywidualna i zbiorowa odpowiedzialność skoncentrowana była na tym, co się dzieje w naszym własnym środowisku, abyśmy czuli odpowiedzialność za to, jak się rozwija nasze życie literackie, nasza twórczość, warunki naszej twórczości i naszego życia. Zdaje się, że to jest proste i nie będę się nad tym dłużej rozwodził.

Trudniej zgodzić się z żądaniem kol. Stonimskiego, aby Związek nasz zajął się raczej, wytyczając się głównie, sprawami bytowymi.

Oczywiście — nikt z nas nie zamierza negować wagi spraw bytowych, ale przecież dziś u nas w Polsce Ludowej, takie organizacje zwane zawodowymi jak kolejarzy, budowlanych czy innych, mają większe ambicje, aniżeli być tylko związkami zawodowymi, reprezentującymi jedynie bytowe, ekonomiczno-socjalne interesy takich czy innych pracowników.

Przed wojną Związek Literatów nazywał się związkiem „zawodowym” i rzeczywistnie ograniczał swoją działalność niemal wyłącznie do spraw bytowych. Ale w ciągu 20 lat nie zdołał on ująć pisarstwo polskie ani części tych bytowych — materialnych osiągnięć, z jakich dziś korzystamy, chociaż wiele nam jeszcze brakuje. Kolearzy, którzy pamiętają przedwojenny Związek wiedzą, że w dziedzinie spraw bytowych, o które wyłącznie ten Związek walczył, osiągnięcia były znikome. Nie było żadnego Domu Literatów, żadnej siedziby związkowej, żadnego domu twórczego, nie było ubezpieczeń zdrowotnych itd. — faktem jest, że jeżeli chodzi o sprawy bytowe, to osiągnięcia dziś o wiele więcej aniżeli ten Związek, który nazywał się zawodowym. My także zajmujemy się materialnymi zagadnieniami naszego zawodu, ale w jakiejś proporcji w stosunku do zasadniczych spraw, które nam leżą na sercu. Związek nasz sprawami bytowymi zajmował się i będzie się zajmować, ale sądzę, że nikt z nas nie chce wracać do czasu, kiedy całe życie organizacji piarskiej sprowadzało się do kółtania o rozmaite formy jałmużny.

Jasne, że powinniśmy się bić o sprawę rozwoju twórczości i warunków dla tej twórczości. I to jest zarazem jedyną drogą do prawdziwego rozwiązania wszystkich spraw bytowych. Przedwojenny związek zawodowy literatów polskich był w gruncie rzeczy zupełnie beznadziejny wobec faktu dwutysięcznych i jeszcze

inniejszych nakładów wobec całej chłupniażonej hędy przedwojennego rucnu wydawniczego, wobec pustek na widowiskach teatralnych. Oczywiście beznadziejność wobec tych wszystkich faktów przedwojenny Związek mógł jedynie zbierać o palatywy i jałmużny, żadnych zasadniczych spraw nie mógł rozwiązać.

Społeczne podstawy egzystencji pisarza są dziś w zasadzie zupełnie inne i mówiłem o tym w swoim referacie. I dlatego nie ma nie dziwnego w tym, że nasza organizacja związkowa bije się przede wszystkim o sprawy zasadnicze naszego zawodu, o idee i sposób ich realizacji w twórczości i na pewno nasz Zjazd był odbiciem tej właśnie roli, tej funkcji naszego Związku, dyskusja nasza konkludowała się przecież na tych najważniejszych i najistotniejszych sprawach.

Barzo istotną — jedną z najważniejszych spraw naszej dyskusji — poruszył kol. Drewnowski. Chciałbym parę słów powiedzieć i na temat tego ustępu w jego przemówieniu, gdzie kol. Drewnowski polemizował z pewną tezą mojego referatu, tezą, mówiącą o tym że nie rezygnując ani na jotę z walki o realizm socjalistyczny — winniśmy walczyć również oświaty innych jeszcze możliwości realizm literatury w Polsce Ludowej. Nie będę to podejmował szczegółowej dyskusji; nad tym problemem, która poniekąd musiałaby przypominać naszą niedawną dyskusję o tzw. „nurtologii”. Ogarnięcie się do stwierdzenia, że głównym brakiem argumentacji kol. Drewnowskiego było to, że oparł się na dwóch fragmentarycznych raczej przykładach. Otoż oba przykłady bynajmniej nie wyczerpują możliwości szerokiego frontu realizm literatury w Polsce, jaki ja miałem na myśli. Sądzę, że na taką egzemplifikację, jaką zastosował kol. Drewnowski, jest jeszcze za wcześnie — nie mamy dostatecznie obfitego materiału w samej twórczości, aby o tych rzeczach bardziej przekonująco mówić.

Ogólnie biorąc sądzę, że dyskusja nasza w zasadzie nie zawiodła tych nadziei, jakie wiążyliśmy ze Zjazdem, choć niewątpliwie w tak żywym jak obecny okresie naszego życia literackiego można by oczekiwać jeszcze bogatszej dyskusji. W każdym razie trzeba stwierdzić, że była ona naprawdę szczerą, poruszyła centralne zagadnienia z bardzo różnych punktów widzenia i że wyprostowała istotnie niejedno z tych nieporozumień, czy fałszywych wniosków, z jakimi ostatnio mieliśmy do czynienia.

Trudno w tym podsumowaniu nie wspomnieć o dwóch momentach naszej dyskusji, a mianowicie o wy-

powiedziach tow. Simonowa i o wypowiedzi naszego przyjaciela Wurmsera.

Mozna by powiedzieć, że tow. Simonow, jak gdyby włączył do naszej dyskusji summen energii ideowej z rozgazanego nastroju wielkiej dyskusji, jaka toczy się dziś w Związku Radzieckim, przed jesienią naszego Zjazdu tamtejszego Związku Pisarzy.

Niewątpliwie jego wywody poruszające kilka konkretnych zagadnień literatury realizmu socjalistycznego wzbogaciły zakres naszych pojęć o istocie tej metody twórczej np. o zagadnieniu bohatera pozytywnego. Myślę, że do tych sformułowań cenny jeszcze nieraz wracali w naszych przyszłych dyskusjach, że podejmie je również nasza krytyka, o której brakach nie miało tutaj się mówić.

Myślę, że zapamiętamy szereg sformułowań i myśli wypowiedzianych przez naszego przyjaciela Wurmsera, a przede wszystkim jego twierdzenie o „długu” naszym samemu sobie, o „długu” naszej walce o nową literaturę z tą walką, jaką toczą piśmiennicy Francji o godność i niepodległość ich narodowej twórczości.

Coż można by wysnuć, jako ogólną konkluzję z naszej dyskusji zjazdowej? Wydaje mi się, że dwie rzeczy nasuwają się przede wszystkim. Na pierwszą zwrócił uwagę tow. Putrament, kiedy wskazywał zagadnienie tematyki współczesnej, a w szczególności tematyki wiejskiej, jako w tej chwili główne zagadnienie dalszego rozwoju naszej literatury. Oczywiście walkę o tę nową tematykę prowadzić musimy na wyższym niż dotąd poziomie, przy pomocy lepszych, słuszniejszych metod, bardziej celowych niż stosowane w pierwszym okresie przemian tematycznego. Druga sprawa, jaka wynika z ducha tego Zjazdu i z poszczególnych wypowiedzi zjazdowych, to jest po prostu to, aby instytucje naszej polityki kulturalnej wykazywały więcej zaufania do pisarzy, do ich poczucia odpowiedzialności za własną pracę, odpowiedzialności, którą — jestem przekonany — nasi pisarze chcą brać na siebie.

Oczywiście wszystko to są niby truizmy, można by znowu zapytać za Przybyszem: gdzież to jest śmiałość i jakaś nowość, tak jak nie widział jej Przybysz w obradach Rady Kultury. Myślę, jednak, że nowych haseł i nowych prawd jest właściwie nie wiele do odkrycia na drodze do dobrej literatury. Do odkrycia są dziś dla nas nowe prawdy piarskie o życiu — i jestem pewny, że prawdy te będziemy odkrywali.

Leon Kruczkowski

Andrzej Mandalian

PŁOMIENIE

P O E M A T



Wydawnictwo
Ministerstwa Obrony Narodowej
1954

KORESPONDENCJA • KORESPONDENCJA

BŁĘDY STENOGRAMU

W nr 25 „Nowej Kultury” w dyskusji zjazdowej znalazło się moje przemówienie. Tekst tego przemówienia zawierał mnóstwo błędów i niedokładności, gdyż wydrukowano go ze stenogramu, nie skontrolowanego przeze mnie.

Przytoczę dla przykładu kilka miejsc ze zniekształconego tekstu:

1. Zamiast: w sztuce, której powinna uragać wiekom, z której, niestety, uragać wieki minione — powinno być: w sztuce, która powinna uragać wiekom, a której niestety uragać wieki minione.

2. Poeta ten — jak wiadomo, pełen skazów i błędów... Zamiast „skazów” ma być oczywiście: skaz.

3. Narod Kopernika i Chopina jest wielki nie tylko dlatego, że wydał tych dwóch wielkich ludzi, że wydał kilku genialnych poetów... ma być: Narod Kopernika i Chopina jest wielki nie tylko dlatego, że wydał tych dwóch wielkich ludzi, ale również dlatego, że wydał kilku genialnych poetów...

4. Zamiast: Różni Katoni naszej krytyki potępiali bardzo ostro każdego poe-
tę.

który nie chciał się poddać samemu systemowi... powinno być: Różni Katoni naszej krytyki potępiali bardzo ostro każdego poe-
tę, który nie chciał się poddać schematycznemu systemowi i myślenia.

5. Zamiast: ale również minimalnego chociażby środka, którym posługuje się poeta... powinno być: ale również minimalnej chociażby znajomości środków, którymi posługuje się poeta.

6. Po passusie: I tu warto zacytować zdanie, bardzo zdaje się trafne i aktualne — omieszczono owo zacytowane zdanie. Brzmiało ono:

Autor idzie w ciemność, by wydać jej światło, by rozjaśnić ją.

Wulgaryzator w jasność, by rozjaśnić ją, to jest, w jasność, by rozjaśnić ją.

Poprzedzając na przytoczeniu i sprowstawianiu tych kilku znaków... Sierżant... to jest, w jasność, by rozjaśnić ją, to jest, w jasność, by rozjaśnić ją.

Mieczysław Jastrun



Halina Chrostowska-Piotrowicz — Warszawa

Fot. Tadeusz Kaźmierski
Z PGR

Eugeniusz Eibisch — Warszawa

Fot. Stefan Deptuszeński
LENIN I SPOJNIA

Andrzej Wróblewski — Kraków

Fot. Stefan Deptuszeński
NA ZEBRANIU

St. Horno Popławski — Gdańsk

Fot. Stefan Deptuszeński
ZNIWIARKA

Zdzisław Sikorski — Łódź

Fot. D. K. Piotrowski
ŚMIERC J. DĄBROWSKIEGO

Alina Szapocznikow — Warszawa

Fot. K. Jarochowski
STALIN

IV Ogólnopolska Wystawa Plastyki

Dnia 21 czerwca br. została otwarta w Warszawie IV Ogólnopolska Wystawa Plastyki. Wystawiono 705 prac, w tym 329 w dziale malarstwa, 305 z grafiki i 72 rzeźby. Wystawa trwać będzie do września br.

W KINIE I GDZIE INDZIEJ

Kompleksy literackie

Myślę, że nie zjadły i konfereńcy, ale sytuacje, które je rodzą i w nich znajdują swoje rozwinięcie, nazywać można przełomowymi i doprawdy nie dlatego chcę pisać o pograniczu literatury i filmu, że mamy za sobą „przełomowy” Zjazd Literatów. Wydaje mi się jednak, że jest coś istotnego w uwadze, z jaką nie tylko literackie, ale i inne środowiska twórcze przystukiwały się Zjazdowi. Oczywiście nie brakło takich, którzy z wypiekami oczekiwali sensacji, odwołania „nowego kursu” czy też przeciwnie, ponownego dlań potwierdzenia. Znamienny zresztą jest fakt, że tych właśnie urzędowych sensacji, „sensacji z pieczątką”, oczekują w dziedzinie kultury głównie ci, którzy z pozycji „liberalów” uważają się za wrogów administrowania twórczością. Dajmy im jednak pokój; zainteresowanie tym co się dzieje w dziedzinie literatury jest niewątpliwie wynikiem oczywistego i wieloletniego potwierdzenia przez praktykę faktu, że literatura jest i była — u nas sztuką przodującą, że ona właśnie jest kuźnią nowych myśli i idei, że z tej strony idzie wiew nowych koncepcji do innych sztuk. Nie bez racji pisał kiedyś Van Gogh, że „pracownie malarzy, w których brak nowatorskich książ-

zek zięją dla mnie jakąś pustką”.

Dla filmu sprawa ma szczególne znaczenie: z atakiem na literaturę wiązał się w tym środowisku najczęściej atak na realizm, zwrot w kierunku abstrakcji i formalizmu. Nic więc dziwnego, że w momencie, kiedy wysunęliśmy na teren sztuki filmowej hasło realizmu socjalistycznego, zagadnienie stosunku do literatury stało się przedmiotem szczególnie ważnym i przedmiotem dyskusyjnym na niezwykle ważnych odcinkach, gdzie pchają się wszyscy: jedni — z chęcią pomocy, inni — żeby ich widziano, powstało w sprawach pogranicza literatury i filmu nieco bałaganu.

Jednym z krańcowych, moim zdaniem, wyrazów tego bałaganu jest dość rozpowszechnione i propagowane nawet przez najwyższe u nas autorytety w sprawach teorii filmu mniemanie, że scenariusz filmowy jest całkowitym i skończonym dziełem literackim, takim samym jak powieść lub nowela i nie istnieje między tymi gatunkami pisarstwa żadna różnica. Z tej teorii „ultra - realistycznej” wypływa szeroka praktyka, jaką jest masowe publikowanie drukiem, w formie książkowej scenariuszy filmowych w naiwnym przekonaniu,

że czytelnik będzie te książki kupował tak samo jak np. „Węgiel” czy „Obywateli” (konia z rzędem za takiego!).

Stąd również płyną zachwyty dla literacko - stylistycznych walorów scenariuszowego tekstu przy często niewystarczającej ocenie jego istotnych filmowych wartości. Oczywiście, nie szkodzi, gdy widź po wyjściu z kina kupi scenariusz filmu, który obejrzał, nie szkodzi również, jeśli scenariusz napisany będzie ładnym językiem. Ale teoria wydaje mi się niesłuszna, czasem wręcz szkodliwa. Scenariusz, jako dzieło przeznaczone do filmowej realizacji jest już z tej choćby racji półfabrykatem, rodzajem surowca dla filmu, a o jego jakości decyduje nie literacki „sznyt”, ale głęboka obsługa humanistyczna, prawdziwej życiowej i jakości budowy dramatycznej. Nakłanianie się literatów, żeby pisali scenariusze filmowe ładnie, bogato pod względem literackim. To dobrze. Myślę, że dobrze napisany utwór literacki może znacznie lepiej inspirować realizatora filmowego niż utwór napisany skrótowo i niechlujnie, ale nie znam żadnego pisarza - scenarzysty, który by pisał scenariusz jedynie dla satysfakcji pisarskiej, a nie z myślą o przyszłym filmie, który w pełni ucieleśni jego wizję. Często jednak rozumuje się inaczej; mówi się pisarzowi: „Napisał pan scenariusz, to znaczy samodzielny utwór literacki, utwór, w którym mógł pan wyładować wszystkie swoje twórcze zapędy, a teraz bę-

dziemy robili film i zrobimy go po swojemu”. Taki jest bowiem praktyczny skutek „teorii scenariusza jako samodzielnego utworu literackiego”. Zrodzona z nieuzasadnionego kompleksu niższości niektórych teoretyków filmowych wobec literatury bzdura staje się w praktyce narzędziem umniejszania roli literata w filmie.

Nie jestem tu gołosłowny. Zrozumiem z pisarzami - scenarzystami mogę przytoczyć kilka przykładów scenariuszy, które oddane obecnie do produkcji podlegają w rękach realizatorów przeróbkom, dopiskom itd., wypaczając intencje pisarza pod pretekstem, że on już zrobił swoje, a teraz — robi się film — co najzabawniejsze — przeróbki te nie idą, w większości wypadków, w kierunku tego, co nazywamy „ufilmowaniem”, ale przeciwnie polegają one na dopisywaniu tasemcowych dialogów i scen dojących upust literackim kompleksom z kolei u realizatorów filmowych. Nie dziw, że pisarz się zniechęca, macha w końcu ręką na swoje dzieło i najwyżej na ulchodnie nawymyśla realizatorom od grafomanów, ale „swojego” filmu już nie zobaczy na ekranie.

Problem nie jest błahy: kto w końcu ma decydować o tym, co oglądamy na ekranie? Pisarz, który napisał scenariusz, czy reżyser, który robi film?

W wypadku twórców wybitnych, takich np. jak Ford, którzy do-

bierają sobie scenariusze według uznania, którzy mają możliwość wyboru, sprawa jest łatwa: autorstwo filmu jest wspólne, Ford bierze bowiem scenariusz, który mu się podoba, w którym odnajduje cechy swego stylu i ten styl przeprowadza w realizacji. Ale przecież jest faktem, że nie każdy twórca filmowy jest w tej sytuacji. Częściej czeka on na scenariusz jak na zbawienie, bierze do realizacji pierwszy jaki się wreszcie trafi, bo chce robić filmy. Podejmując się pracy nie zawsze dzieli poglądy i upodobania autora scenariusza, często bywa wręcz odwrotnie. I co wtedy? Czy należy uznać, że jest on rzemieślnikiem takim jak np. stolarz, któremu jest w zasadzie wszystko jedno czy robi szafę dębową czy z palonego orzecha? Czy też przeciwnie, uważając go za artystę, który ma coś od siebie do powiedzenia, coś takiego, czego nikt inny nie może wypowiedzieć, pozwolić mu na całkowitą swobodę, nawet kosztem zamysłu twórczego scenarzysty?

Nie mogę na to pytanie odpowiedzieć tak lub nie, zresztą nikt chyba nie może w ten sposób rozstrzygnąć tego problemu, na pewno niestychanie trudnego, bo rozpadającego się na setki różnych warian-
tów indywidualnych i na pewno niestychanie ważnego, bo decydującego o ostatecznym wyguście filmu. Myślę jednak, że łącząc się on z kilkoma sprawami właśnie z pogranicza filmu i literatury. Po pierwsze z właściwie pojętą spra-

wą kultury literackiej. Reżyser musi umieć czytać intencje autora scenariusza, jego półtony nawet wtedy, gdy są one zamaskowane. Reżyser musi, biorąc do realizacji scenariusz Iksa lub Igreka, wiedzieć co ten człowiek już napisał, znać jego manierę, starać się go zrozumieć nie tylko na podstawie tego właśnie scenariusza, ale całej jego twórczości oraz twórczości tych, których dany pisarz bierze za wzór. Po drugie reżyser musi szukać swojego pisarza tak samo, jak pisarz powinien szukać swego realizatora. Musi go odnajdywać nie tylko wśród tych, którzy już napisali scenariusze, ale wśród tych, którzy noszą je w sobie potencjalnie. Stosunek do literatury powinien wyrażać się w środowisku twórczym filmowców nie tylko odświeżnym „czapki z głów przed literaturą”, ale stałą penetracją w środowisko pisarzy. Inaczej nie może być mowy o istotnym sojuszu filmu i literatury, co niewątpliwie stanie się z większą szkodą dla realizatorów, którzy nie mogą pracować bez scenariusza, niż dla pisarzy, którym przecież zawsze zostaje pisanie książek. Zgodna współpraca nie wyrośnie z inspirowanych przez CUK małżeństw z rozsądku. Musi wynikać ze znajomości, przyjaźni, obcowania ze sobą, wspólnych dyskusji i kontaktów środowiska filmowego z przodującym oddziałem twórców — pisarzami.

Krzysztof T. Toeplitz

Redakcja: Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 12. Telefony: Sekretariat 886-11, 824-11. — Red. naczelny 679-38. Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska 12, tel. 853 30. Wydaje RSW „Prasa” Kulpportaz PPK „Ruch”. Oddział: Warszawa, ul. Srebrna 12 tel. 80120 do 25. Warunki prenumerat: miesięcznie zł 4 60, kwartalnie zł 13 80, półrocznie zł 27 60, rocznie zł 55 20. Wpłaty na prenumeratę indywidualną przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejskie. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmują Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa”, Warszawa, ul. Poznańska 38, konto PKO 1-111 5589, tel. 823-09. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Zakłady Drukarskie i Włóknodrukowe RSW „Prasa”, Warszawa, Marszałkowska 3/5.